



22 Rok XVI
(811)

CENA 1.50ZŁ

3.6.73



Czytaj na str. 4

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

Tekst: ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zdjęcia: JANUSZ MENDYCHOWSKI



Juvenalia 73

Dopraszam się gorąco o uwagę. Oto po kilku latach błogiej ciszy Łódź została poddana delikatnej wstrząsoterapii. Ojcowie miasta, którym na szczęście nie obce jest poczucie humoru, zdecydowali się oddać na parę dni władzę w ręce studentów.

SZANUJ STUDENTA!

W czasie tej krótkiej, majowej kadencji zaroiły się wielobarwnym tłumem ulice, rynki i place. Ci, którzy śledzili uważnie rozwój wydarzeń, mieli okazję do geograficznych i historycznych porównań. Ja dla przykładu kontrolowałem łódzkie Juvenalia wspomnieniami z

Krakowa, Torunia i Trójmiasta. Różnie tam bywało. Obok spontanicznej zabawy, trafiały się również tak zwane ekscesy. Placz obok śmiechów. Chamskie żarty obok udanych dowcipów. Jedni tańczyli grzecznie przy dźwiękach big-beatu, drudzy zapijali się w drob-

ny mak na głównych arteriach miasta, budząc zgorzsenie i zasadne obawy społeczeństwa...

Bo władza, którą przekazuje się od czasu do czasu studentom, nie jest wcale — wbrew pozorom — gestem symbolicznym. Wiele instytucji świadomie albo pod-

świadomie poddaje się tym rządóm. Ludność przyjmuje reguły gry, akceptuje bądź tylko toleruje narzucone konwencje. Setki tysięcy oczu patrzają i oceniają studenckie rządy, wiedząc, że ci młodzi, energiczni ludzie naprawdę przejmą kiedyś od starszych ster władzy. Jacy wówczas dla nas będącie? Dobrzy czy źli? Sprawiedliwi czy obojętni? Mądry czy głupi? Historia uczy, że zło, niesprawiedliwość i głupota władców zawsze spotykała się z protestem narodu. A więc... już teraz, w czasie swoich próbnych rządów, musicie walczyć o nasz poklask, naszą przychylność, bez której nie ostoje się żadna władza.

każdym razie — włókniańskie miasto nie przeżyło w dniach od siedemnastego do dwudziestego maja żadnych tragedii czy wypałów, wręcz przeciwnie: studencka wiosna stała się udziałem całego społeczeństwa, które niejednokrotnie włączało się do wspólnej zabawy.

Kilkadziesiąt imprez plebarnych i kameralnych skutecznie wybiło łodzian z zimowego snu. Wszystko w myśl hasła: NIE BĄDZIE TACY CHOLERNIE POWAŻNI! Perskie Jarmarki, na których można było kupić zarówno dziurawe trampki jak i scentrowany motorower; wędrownie trupy muzyczne, które lechtwały gawieź przasnymi piosenkami; turnieje orkiestr, balet i wieczorki taneczne, zawody sportowe. Na Rynku Staromiejskim Rektor Uniwersytetu zmierzył się na

1. Po tym moralizatorskim wstępie muszę od razu powiedzieć, że łódzkie Juvenalia skutecznie zatępiły w mojej pamięci wszystkie złe wspomnienia. Mam nadzieję, że w innych miastach Polski też nie było powodów do narzekań. W

Dalszy ciąg na str. 9

BOGUSŁAW GOŁĄB

DYŻUR

Noc nie zapowiadała się dobrze. Mieliśmy kilka ciężkich stanów na oddziale. Korytarz zawalony. Łóżek wolnych nie ma. W niezbyt więc wesołym nastroju zasiedliśmy z Markiem do kolacji. W czwartki, w które zwykle dyżurowaliśmy, dawano zawsze taką samą kolację: zimny (straszenie tłusty) kotlet schabowy, czerstwe pieczywo i twaróg, co też nie poprawiło naszego humoru.

Kolacja szybko dobiegła końca. Wstałem od stołu, mówiąc:

— Idę na pierwsze piętro trochę się przyłożyć.

W gabinecie dyrektora na pierwszym piętrze, gdzie zwykle sypiał jeden z dyżurantów, otworzyłem okno i wpatrzyłem się w usypiające miasto i zamierający ruch. Lekarz na dyżurze przeżywa chyba podobne u-

czucie jak lotnik. Jest sam, zdany wyłącznie na własne siły, rzadko się zdarza, aby ambicja i przyjęty zwyczaj pozwalaly lekarzowi dyżurnemu na wezwanie pomocy ordynatora, zresztą najczęściej nie ma na to czasu. Samodzielnie podejmuje decyzje, w samotności stacza walkę wewnętrzną, a noc potęguje uczucie osamotnienia i wyolbrzymia małe

problemy. Trzeba mieć na to mocne nerwy.

Z tych rozważań wyrwał mnie telefon. Dzwoniła siostra Maria z izby przyjęć:

— Panie doktorze! Pogotowie!

W izbie przyjęć stoi młody lekarz w kozusku, na podłodze leżą nosze, obok nich sanitariusz i kierowca. Na noszach leży człowiek. Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie zmarłego. Siadam przy noszach. Lekarz z Pogotowia nieśmiało przysiadł na krześle i mówi ni stąd ni zowąd:

— Ale zimno!

Sanitariusz drapiąc się po głowie, pokazuje nosze.

— Przywieźliśmy sercowego, ale marny, ledwo dycha, baliśmy się, że umrze.

— I słusznie baliście się, bo już od pół godziny nie żyje!

— Niemożliwe! — wykrzykuje sanitariusz.

Lekarz wstaje, robi krok w moją stronę, przelika ślinę i mówi:

— Wyglądało na obrzęk płuc. Nic nie dawałem, bo chciałem jak najprędzej przywieźć do szpitala, czulem, że w domu nie dam rady.

— Szkoda. Gdyby mu pan udzielił pomocy w domu, a tak to cóż — rozłożyłem bezradnie ręce.

— Panie doktorze! Niech pan go weźmie! Co ja teraz zrobię z tymi zwłokami? Trzeba zawiadomić milicję, prokuraturę, medycynę sądową, a ja już jedzę trzecią z kolei noc! — głos mu się załamał.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Do izby przyjęć wbiegła kobieta. Obrzuciła nas szybkim spojrzeniem.

— Ratujcie go! Ratujcie! — zawołała i wybuchnęła płaczem.

— Mąż pani zmarł w drodze do szpitala. Nie już nie da się zrobić!

— Jak to — zmarł?

— Zmarł! Umarł! Trzeba go teraz zawieźć na sekcję!

— Tylko nie na sekcję!

— osunęła się na kolana. — Błagam! Ja jestem jego drugą żoną, pasierb by mnie zabił, gdybym go dała rznąć.

— Chyba — powędziałem z oclaganiem — że pan doktor będzie taki uprzejmy, pójdzie pani na rękę, za-

— Chyba — powędziałem z oclaganiem — że pan doktor będzie taki uprzejmy, pójdzie pani na rękę, za-

— Chyba — powędziałem z oclaganiem — że pan doktor będzie taki uprzejmy, pójdzie pani na rękę, za-

— Chyba — powędziałem z oclaganiem — że pan doktor będzie taki uprzejmy, pójdzie pani na rękę, za-

(Dalszy ciąg na str. 6)



ANTONI BORATYŃSKI — grafika

SPOTKANIE TWÓRCÓW I BUDOWNICZYCH

Po raz drugi w bieżącym roku, w dniach od 23 do 25 maja odbyło się KRAJOWE SPOTKANIE PRZEDSTAWICIELI ŚRODOWISK TWÓRCZYCH. Tym razem, po budowie Portu Północnego, miejscem spotkania było województwo katowickie, gdzie zlokalizowane są inwestycje przemysłowe o ogólnonarodowym znaczeniu.

W PIERWSZYM DNIU grupy twórców (składające się z literatów, artystów-plastyków, filmowców, muzyków i publicystów) odwiedziły kilkanaście kopalń Rybnickiego Okręgu Węglowego. Kopalnie ROW znane są nie tylko z wysokiej wydajności pracy, sukcesów intensywnej rozbudowy, nowoczesności produkcji, ale również troski o bytowe i kulturalne warunki swoich pracowników. Mogliśmy się o tym przekonać zwiędając zarówno same kopalnie, jak i podczaj serdecznej gościnny w miejscowych klubach, świetlicach i ośrodkach wypoczynkowych.

Gościnność śląskich górników jest znana. Tym razem także mogliśmy to potwier-

dzić. Pokazano nam cały mechanizm działania kopalni, cierpliwie tłumaczono techniczne zawiłości i psychologiczne aspekty pracy pod ziemią. Dla tych, którzy po raz pierwszy zjechali na dół kopalni, były to chwile niezapomniane do końca życia. Oczywiście po jednodniowym pobycie wynosi się wiedzę naskórkową, powierzchowną, ale mimo to, ma się przynajmniej możliwość konfrontacji własnych wyobrażeń z lektur, filmów — z tym, co zobaczyliśmy na własne oczy.

Rozmowy z górnikami charakteryzowała serdeczność, wzajemna życzliwość i zainteresowanie dla pracy obydwu stron. Takie zbliżenia mają swój sens, gdyż

nie chodzi o sumę wyniesionej wiedzy, ale zrozumienie konieczności wzajemnej potrzeby i akceptacji, tak pozornie odmiennych środowisk.

Takie wrażenie towarzyszyło nam przez wszystkie trzy dni spotkań na terenie Śląska i Zagłębia. Na budowie Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bielsku i Tychach, w mikro-hucie „Strzemieszyce”, na terenie gigantycznej budowy huty „Katowice”.

Każdy z tych trzech dni był inny...

DRUGI DZIEŃ upłynął pod znakiem FSM, kombinatu składającego się z 11 zakładów, w większości dotychczas samodzielnych fabryk. Tu mogliśmy poznać dotychczas funkcjonujące wydziały, wśród nich takie jak 200-letnią kuźnię w Ustroniu i w niezwyklej tempie wznoszone hale do montażu małego „Fiata”. Przykład harmonijnego łączenia wysiłku 20-tysięcznej załogi, pracującej jeszcze w dość odmiennych warunkach. I udany przykład społecznej adaptacji tysięcy przybyszów z całego kraju, młodych robotników, techników i inżynierów, którzy swe zawodowe ambicje zwiążali z tym kombinatem.

Ustroń, Szczyrk, Wisła, drogą przez Salmopol — to nie była tylko turystyczna wycieczka, lecz kolejna konfrontacja przemysłowego pejzażu z pięknem Ziemi Beskidzkiej, która stała się naturalnym zapleczem wypoczynkowym i dla załogi FSM, i dla całego górnictwa hutniczego Śląska.

W TRZECIM DNIU znów nowe wrażenia. Po krótkiej wizycie w mikro-hucie „Strzemieszyce” książkowy krajobraz największej w Polsce inwestycji. Jeszcze słowo o mikro-hucie. Wbrew nazwie nie jest mała, ale w niczym nie przypomina tradycyjnej huty. Ani tu wielkich pieców, ani martenów nie zobaczysz. Ale za to najwyższą światową technikę: piece elektryczne, agregaty obróbcze, automatyczne linie, laboratoria. I miłą dla oka przemysłową architekturę.

Okolice Losienia, to jakby inny kraj. To prawdziwy początek, roboty makro-nielatywne. Przerzucono już kilka milionów metrów sześciennych ziemi, ale w tym samym czasie wybudowano też dziesiątki bloków miesz-

kalnych typu „Lipsk” na NRD-owskiej licencji. Przeszłość jest tak ogromna, że pozostaje tylko objazd autobusem. I widząc drogi, torry, wyprofilowane tarasy, sporych budynków zapleczka, bazy transportu, nietrudno uruchomić wyobraźnię, uwierzyć w słowa, które bez cienia wątpliwości wypowiadają przewodnicy: za tyle to a tyle miesięcy będzie tu stał taki a taki wydział. Dotychczasowe tempo jest rewelacyjne. I mimo nasuwających się natrętnie porównań z budową Nowej Huty, nie ma ich właściwie za wiele. Tam łopata, kilof, furmanki, tutaj najnowocześniejszy na świecie ciężki sprzęt budowlany. Tak sam jest chyba tylko entuzjazm.

Nad jeziorem Pogoria rozmawiamy na przystani. I mimo, że psuje się pogoda humory są doskonałe. I budowniczych i nas wszystkich, którzy przecieżyli sporo o tej budowie wiedzieli, ale wreszcie mogli ją zobaczyć. I chyba wielu z nas tu powróci, skorzysta z gościnnego zaproszenia, by z bliska, na co dzień przyjrzeć się

miejsu, gdzie nie tylko wyrasta ta „druga Polska”, ale gdzie również rosną ludzie na Jej miarę.

I ten akcent dominował na spotkaniu z przedstawicielami centralnych i wojewódzkich władz partyjnych i państwowych, jakie odbyło się na zakończenie trzydniowych peregrynacji po gościnnej ziemi Śląska i Zagłębia. Świadomość potrzeby zdyskontowania tych sukcesów budowniczych upowszechnienia ich wśród całego społeczeństwa. Wracając tu, na wielkie budowy socjalizmu, wracając do ludzi pracy, to dla twórców znaczy tyle, co wracając do źródeł.

JERZY WAWRZAK

P.S. Do problemów, o których zaledwie powyżej wspominałem będziemy powracać. W czerwcu zamieścimy np. reportaż z budowy huty „Katowice”, tak jak w ubiegłym miesiącu mogliśmy zapoznać naszych Czytelników z problemami budowniczych Portu Północnego.

Najkrótsza droga

Człowiek zawsze dąży do uproszczenia, do ułatwienia sobie życia. Zdarzają się przypadki tacy, którzy mają zamówienie do komplikacji, ale są oni w zdedykowanej mniejszości, choć wiele też potrafią wyrządzić szkody. Kiedy myślimy o naturalnym dążeniu człowieka do uproszczenia, zaraz przypominam sobie trawniki. Skojarzenie takie może wydać się dziwnym, ale — zaryżuję — jest ono najprostsze w świecie.

Rozsądny człowiek przed zasianiem trawy na publicznym trawniku, daje ludziom możliwość wydeptania takich ścieżek, które będą im najwygodniejsze. Wybredny esteta postąpił inaczej. Już z góry zakomponuje ścieżki drózek, nie zastanawiając się wcale, czy i jak będą one ludziom przydatne. A potem be-

dział się dziwił, że są jeszcze tacy wandalci, którzy deptają świętość — trawę.

Dążenie do uproszczenia, do skrótu można obserwować w każdej dziedzinie życia. W naszym potocznym, codziennym języku też. Pojawia się tu coraz więcej pojęć, neologizmów, które mają zastąpić formy opisowe. Oto przykład. Nim wychodziliśmy tylko same gazety, nie było problemu z nazwą. Mówiliśmy po prostu: prasa. Później pojawiło się radio i to też jeszcze nie skomplikowało nam języka. Dopiero, kiedy do prasy i radia dołączyła telewizja — zmieniła się rzecz cała i na jej nazwanie wymyślono najpierw „środki masowego przekazu”, a później — „środki masowej informacji”. Ludzie dążyli jednak do tego, aby zamiast tych trzech

słów móc posługiwać się jednym. I wymyślono „publikatory”. Czy to się przyjmie? Zobaczymy.

Takich opisowych pojęć jest wiele, a wśród nich — propaganda masowa. Kryje się pod tym i plakaty, i gazetka ścienna, plansza, portret przedującego robotnika, hasło, transparent, a także gablotka z komunikatami i dekoracja sklepowej witryny. Jednym słowem to wszystko, przy pomocy czego przekazuje się ludziom określone treści i informacje. Zastanawiam się tylko, czy i jaka jest różnica między propagandą wizualną, a reklamą? Reklama w swojej formie pierwotnej straciła u nas swój pierwotny sens i stała się formą przekazywania informacji, a także formą dekoracji — estetycznym elementem. Plansza z wynikami osiągniętymi w eksporcie wyrobów np. „Wólczańki”, wywieszona na zewnątrz zakładu, jest jednocześnie i elementem propagandy wizualnej i reklamą. Wszystko zależy jeszcze od tego, jak ta plansza jest

wykonana, bo byłoby dobrze, aby była też ładna. Z nasza propaganda wizualna — niestety — nie jest dobrze. Tu też istnieją pewne prawa i zasady, o których nie wszyscy parają się propagandą wizualną wiedzą i którymi posługują się w praktyce. Bardzo często wywieszają się z okazji państwowego święta gazetkę ścienną, albo jeszcze lepiej i łatwiej — fotogazetkę i „po krzyku”. Potem wielko-miesięczami, aż do następnego święta. Od 22 lipca do kolejnej rocznicy Rewolucji Październikowej. W halli fabrycznej wiszą plakaty, ostrzegające robotnika przed wypadkami: „Pamiętaj, nie masz części zapasowych!”, kilka hasel politycznych i to wszystko. A przecież nie o to chodzi, aby takie gazetki, transparenty i plakaty wywieszać, ale o to, aby zdawać sobie sprawę z celu, tego, co robi się w ramach propagandy wizualnej.

Oglądałem niedawno w Polskiej Kronice Filmowej ewenement, zakłady „Stomilu”, gdzie

obok maszyn stały kwiaty. Jan Suzin, czytając komentarz do tego wydania PKF, zachwycił się z radości. A to przecież nie nowego. W Związku Radzieckim widywałem kwiaty i ładne dekoracje nawet w najstarszych fabrykach. Od nas wiele delegacji systematycznie jeździ do ZSRR. Czyżby nie można było się tego wcześniej nauczyć? I czy tylko „Stomil” musi odkrywać już raz odkrytą Amerykę?

Niedawno Wydział Propagandy KŁ PZPR, „Głos Robotniczy” i

Łódzki Ośrodek Telewizyjny ogłosili dla zakładów pracy konkurs na wprowadzenie nowych form propagandy wizualnej. Będzie więc okazja do wykorzystania wszystkich dobrych wzorów, okazja do wykazania inicjatywy i inwencji. Może wreszcie coś zacznie zmieniać się w tym, co zwykliśmy nazywać propagandą wizualną. Nazwa brzydka, bo brzydka, ale wszyscy z grubszą wlemy o co chodzi.

MARCIN RODAK

WYJAŚNIENIE

W nr 16 „Odgłosów” ukazał się reportaż Andrzeja Makowieckiego pt. „High society”, który zilustrowano zdjęciami pochodzącymi z redakcyjnego archiwum. Zdjęcia te nie miały nic wspólnego z tematyką zamieszczonego reportażu.

Wszystkie osoby, które mogłyby poczuć się urażone publikacją tych zdjęć, dopatrując się w nich swego podobieństwa, redakcja przeprasza.

Ze świata

Maj szczególnie aktywnie zaznaczył się na arenie międzynarodowej. Wystarczy powołać się na doniosłe — omawiane na tym miejscu — wizyty, aby w pełni uzasadnić powyższe stwierdzenie. W dzisiejszym przeglądzie aktualności powrócimy do jednej z nich, a także powiemy o nowych.

WIZYTA LEONIDA BREŻNIEWA W BONNIE była bardzo pracowita. Aż trzydzieści godzin spędzono na rozmowach, co zmusiło do zrezygnowania z niektórych punktów wcześniej ustalonego programu pobytu. Ale też zakres spraw, które omawiano, był szeroki. Informuje o tym wspólnie oświadczenie oraz przemówienia gościa i gospodarza; oceniające przebieg rozmów. Przedmiotem wzajemnego zainteresowania były stosunki bilateralne — w czasie wizyty podpisano porozumienia o rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej i technicznej, o współpracy kulturalnej oraz dodatkowy protokół do porozumienia o komunikacji lotniczej — ale również aktualne problemy międzynarodowe. Spośród tych ostatnich największej uwagi poświęcono perspektywom pokoju w Europie. Zawarte w ostatnich latach układy i porozumienia służą zapewnieniu pokojowego rozwoju. W realizacji tego celu duże znaczenie będą miały również: pomyślne zakończenie rozmów między rządami NRF i CSRS oraz wyrażona przez Brandta gotowość nawiązania stosunków dyplomatycznych z wszystkimi państwami Europy wschodniej.

Obie strony stwierdziły, że sprawy związane z przygotowaniem i odbyciem europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy wysunęły się obecnie na czołowe miejsce w polityce oraz że zdecydowane są przyczynić się do sukcesu tej konferencji. Wyrażono przekonanie, że pomyślne zakończenie się konsultacji wiedeńskich na temat wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie.

Za istotny wkład w uzdrowienie atmosfery międzynarodowej uznano wygaszenie wojny w Wietnamie. Z niepokojem

natomiast obie strony odnotowały utrzymywanie się napięcia na Bliskim Wschodzie, oświadczając, że będą popierać wszystkie wysiłki, zmierzające do osiągnięcia trwałego i sprawiedliwego pokoju w tym rejonie świata.

Już nawet z tak skróconego przedstawienia problemów, które były omawiane przez Breżniewa i Brandta, wynika międzynarodowe znaczenie bońskich rozmów. Dlatego też w prasie światowej są one nadal komentowane, a dziennikarze nie szczędzą wielkich słów dla podkreślenia ich wagi.

Z powszechnym zainteresowaniem spotkała się także zapowiedź kolejnej WAŻNEJ WIZYTY sekretarza generalnego KC KPZR — TYM RAZEM W WASZYNGTONIE. Przypuszcza się, że w czerwcowych rozmowach L. Breżniewa z R. Nixonem podjęte zostaną przede wszystkim najważniejsze problemy światowe. W ciągu roku, jaki minął od moskiewskiej wizyty prezydenta USA, świat uczynił znaczny krok w kierunku pokoju. Rozmowy sekretarza generalnego KC KPZR w Waszyngtonie służą będą utrwaleniu atmosfery odprężenia i poszukiwaniu nowych możliwości skutecznych rozwiązań.

Weszliśmy już jednak w czerwiec, podczas gdy chcielibyśmy skomentować jeszcze jedną majową wizytę — PREMIERA PIOTRA JAROSZEWICZA W TURCJI. Ogłoszony po jej zakończeniu wspólny komunikat stwierdza, że premierzy rządów Polski i Turcji przeprowadzili szeroką wymianę poglądów na temat zagadnień międzynarodowych, ze szczególnym uwzględnieniem problemów europejskich, oraz na temat stanu i perspektyw rozwoju stosunków dwustronnych. I znów komunikat precyzyjnie wylicza zbieżne w ocenie elementy sytuacji międzynarodowej, zapewnia poparcie obu krajów dla przedsięwzięć pokojowych w Europie i w innych kontynentach. Przynosi też stwierdzenie pomyślnego rozwoju stosunków polsko-tureckich. Zapowiada dalsze rozmowy na temat zawarcia konwencji konsularnej oraz wyraża życzenie obu stron podpisania umowy o pomocy prawnej i ekstradycji. Otwiera drogę do rozszerzenia współpracy na polu gospodarczym oraz w dziedzinie kulturalno-naukowej.

Tak więc na liście krajów, z którymi Polska będzie rozwijać wielostronne kontakty, znalazła się również Turcja, kraj włączający się aktywnie do utrwalenia zasad pokojowego rozwoju Europy.

Lektura komunikatów po licznych ostatnio podróżach mężów stanu jest w swej wymowie bardzo optymistyczna. Utwierdza w przekonaniu, że zwycięża idea pokoju i współpracy między narodami.

Najbardziej obecnie NIEBEZPIECZNYM REJONEM JEST BLISKI WSCHÓD. Zwrócić przeto uwagę Czytelników na zapowiedzianą na 4 czerwca br. kolejną sesję Rady Bezpieczeństwa, na której podjęta zostanie analiza sytuacji bliskowschodniej. W związku z tym sekretarz generalny ONZ — Kurt Waldheim ogłosił raport, podkreślający rolę Rady Bezpieczeństwa w rozwiązaniu konfliktu. Jego zdaniem jest to najważniejsze forum do dyskusji i decyzji. Izrael powinien więc zrezygnować z żądań bezpośrednich rokowań i uznać w tej kwestii kompetencje Rady. Na tę propozycję Izrael natychmiast zareagował powtórzeniem raz jeszcze swego stanowiska, że tylko nawiązanie bezpośrednich rozmów na linii Tel Awiw — stolicy arabskie może prowadzić do rozwiązania kryzysu. Nie jest to dobrą zapowiedzią i świadczy o trudnościach, jakie stwarza Izrael w poszukiwaniu dróg przywrócenia pokoju na Bliskim Wschodzie.

Przełoga wydarzeń zakończymy przypomnieniem, że 25 maja NA FOTELU PREZYDENCKIM W ARGENTynie zasiadł HECTOR CAMPORA — bliski współtowarzysz Perona. Na uroczystości zaprzysiężenia prezydenta, w której wzięli udział przedstawiciele 60 krajów, Campora zapowiedział solidarność jego rządu z walką narodów przeciwko imperializmowi oraz otwarte stosunki z rządami wszystkich państw — niezależnie od ich ustroju. Zapowiedział również nacjonalizację banków oraz kontrolę państwa nad prywatnymi inwestycjami.

Przed Argentyną otwiera się nowa karta...

WITOLD SŁAWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

NIE SAMYM CHLEBEM CZŁOWIEK ŻYJE. Czasem bardziej niż nagroda pieniężna cieszy uścisk dłoni, gratulacje wyrażone publicznie za osiągnięcia w pracy zawodowej, czy działalności społecznej. Tym bardziej, że dość często nagrodę pieniężną odbiera się przy wypłacie, w niebieskiej kopercie, podpisując jedynie listę plac. Jest to niewątpliwie też zachęta do lepszej pracy, ale czy jedyna?

Socjalistyczny zakład pracy — przedsiębiorstwo, fabryka, instytucja — jest nie tylko środowiskiem pracy zawodowej. Zachodzą tu też różnorodne procesy społeczne, które wpływają na kształtowanie się postaw ludzi pracy. W każdym przedsiębiorstwie działa organizacja partyjna, związkowa oraz inne organizacje społeczne i ich zadaniem jest takie kierowanie tymi procesami społecznymi, takimi ich wykorzystywanie, aby w wyniku tego działania kształtowały się posta-

— postulowali równy podział premii, tak jak swego czasu postulowano równy podział funduszu zakładowego. Wprowadzenie takiej „urawnilówki” miałyby się z celem nagradzania premią czy to z funduszu przeznaczanego do premiowania za wykonanie zadań eksportowych, czy z funduszu zakładowego, czy każdego innego, niwelowałyby jego znaczenie wychowawcze: nagroda za lepszą pracę, jest zachętą dla innych, którzy pracują gorzej, a mogą pracować też dobrze.

Nagrody

wy ludzi pracy socjalistycznego społeczeństwa. W programach pracy wychowawczej organizacji partyjnej i związkowej odpowiednio miejsce zajmuje system nagradzania ludzi dobrej pracy, system wyróżniania najlepszych.

Jak do tej pory nie posiadamy jednolitego systemu nagradzania za dobrą pracę, poza systemem premiowania pieniężnego. W systemie nagradzania odpowiednio miejsce zajmuje system nagradzania ludzi dobrej pracy, system wyróżniania najlepszych.

Stosowane obecnie systemy nagradzania pieniężnego, nie we wszystkich sferach formach najdoskonalsze, stanowią mimo wszystko zachętę do lepszej pracy. Jednakże zbyt formalne ich stosowanie rodzi nie tylko nieporozumienia, ale też nie jest elementem w pracy wychowawczej. Przykładem tu może być premia eksportowa. Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju otrzymują na kwartał milion zł na premie eksportowe. Ten milion można podzielić pomiędzy 2500 osób, dając każdej po 400 zł, ale można też podzielić inaczej, jednym dając więcej, innym mniej w zależności od wkładu pracy w realizację zadań produkcyjnych. Wydawałoby się, że każdy rozsądny człowiek będzie za takim, różnicowanym podziałem premii eksportowej. Ale nie. Niektórzy — z takimi opiniami można spotkać się nie tylko w

W LZPB im. Obrońców Pokoju rozszerzono dotychczasowe formalne nagradzanie premią eksportową. Wywiesza się listy osób nagrodzonych, a na listach tych obok nazwiska nagrodzonego, podaje się wielkość nagrody oraz powód takiego wyróżnienia. Wprowadzenie tego stało się hamulcem w dążeniu do „urawnilówki”, a jednocześnie podniosło walor wychowawczy tak prostej sprawy, jaką jest premia eksportowa.

Prostych spraw, których znaczenia wychowawczego nie potrafimy docenić i wykorzystać jest w każdym zakładzie znacznie więcej. Oto inny przykład. Każdemu, kto przepracuje w zawodzie, czy przedsiębiorstwie nieprzerwanie 15, 25 czy 40 lat należy się premia jubileuszowa. Premia taką w wielu zakładach wypłaca się w taki sam sposób jak comiesięczny zarobek, a przecież jest to forma uznania za długotrwałą pracę.

Pamiętam spotkałem przed laty starego górnik. Było to jeszcze w czasach, kiedy obok nagrody pieniężnej wręczano pamiątkowe zegarki. A być może były to czasy, kiedy wręczano tylko takie zegarki. Ów górnik — jeden z pierwszych, któremu taki zegarek wręczono — obnosił ten dar z dumą i chętnie go wszystkim pokazywał. A powód do dumy miał jeszcze dodatkowy. Ów pamiątkowy zegarek, antyczny, bo kieszonkowy, wręczył mu sam ówczesny minister górnictwa.

Nie namawiam do ponownego wręczania pamiątkowych zegarków, ale wydaje mi się, że nie można nadal godzić się tylko na formalną wypłatę jubileuszowej nagrody.

Poza systemem pieniężnego premiowania nie posiadamy jednolitego systemu wyróż-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

niania i nagradzania. I myślę, że to dobrze. Nie upatrywałbym niebezpieczeństwa w tym, że w różnych przedsiębiorstwach obok mniej więcej jednolitych zasad materialnego nagradzania funkcjonować będą też różnorodne formy nagradzania moralnego. Wydaje się natomiast, że niebezpieczeństwo tkwi w tym, że stosuje się tylko sposoby nagradzania materialnego, zapominając o nagradzaniu moralnym, o tym, że nagroda powinna stanowić zachętę do jeszcze lepszej pracy, do rozwijania inicjatywy, wykazywania pomysłowości.

Ludzie chcą być wyróżniani, pragną uznania za to, co robią poza swoimi normalnymi obowiązkami, oczekują uznania za pracę dobrą, rzetelną, za lepszą od przeciętnej. I tą naturalną dążnością trzeba umiejętnie wykorzystywać w procesie kształtowania socjalistycznych postaw. Czasem zwykłe a szczerze „dziękuję” kierownika czy dyrektora więcej może dać zadowolenia niż premia lub nagroda pieniężna. Nie samym chlebem bowiem człowiek żyje. Nie każdy pyta: co ja z tego będę miał? Nie każdy liczy: za ile? Ale każdy rad jest z tego, kiedy mu się szczerze dziękują. Co wcale nie przeszkadza, że temu „dziękuję” może towarzyszyć też uznanie wyrażone w postaci nagrody pieniężnej.

Istnieje jednak pewien schemat wyróżniania moralnego. Za dobre wyniki w współzawodnictwie pracy otrzymuje się dyplomy, podobnie zresztą jak we współzawodnictwie o tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej. Są tytuły Młodego Mistrza Techniki, Zasłużonego Racjonalizatora Produkcji. Daje się dyplomy za pracę społeczną, za dobre wyniki w sportowych spartakiadach w niektórych zakładach, jako że nie wszystkie takie imprezy organizują. Jest tego sporo, a przecież wszyscy są zgodni, że jednocześnie jest tego mało. Następuje chyba stały proces dewaluacji jednych form, szczególnie tych powszechnie stosowanych. Wprawdzie ludzie otrzymywane dyplomy chowają, oprawiają je w ramki, aby móc chwalić się przed znajomymi, dziećmi, a później wnukami. Znacki honorowych i zasłużonych działaczy i pracowników noszą w kłapach, a mimo to wszyscy odczuwamy pewien niedosyt form moralnego nagradzania za dobrą pracę, za poświęcenie, ofiarność, zdyscyplinowanie, inicjatywę i pomysłowość. I chyba nie przypadkiem Wydział Propagandy i Agitacji KL PZPR zorganizował seminarium poświęcone formom moralnego nagradzania, zapraszając nanie sekretarzy komitetów zakładowych partii. Adresat: zakładowe organizacje partyjne powinny być inicjatorami coraz to nowszych sposobów takiego właśnie nagradza-

nia. Umiejętne wiązanie systemów nagradzania materialnego z moralnym.

IV Jest sporo wzorów do naśladowania. LZPB im. Obrońców Pokoju wprowadziły odznaki zasłużonego pracownika. Podobne odznaki ma też „ELTA”, Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego i inne. W Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Sz. Harnama wręcza się co jakiś czas listy pochwalne za dobrą pracę zawodową i społeczną. Tak też postępuje się w ZPB im. J. Marchlewskiego i w „ELCIE”. Natomiast Państwowe Zakłady Wydawnicze Szkolnych, Zakłady Przemysłu Jedwabniczego im. gen. W. Wróblewskiego oraz „STOMIL” wprowadziły już dyplomy jubileuszowe dla pracowników ze stażem 15, 25 i 40 lat pracy. Czy to jest właśnie to, co w tym ostatnim przypadku należy zrobić? Pomysłowość i inicjatywa — powtarzam — jest tu potrzebna i pilnie poszukiwana.

W wielu zakładach organizuje się plebiscyty na najlepszego pracownika i kolegi, na najlepszego w zawodzie, na mistrza wychowawcę młodzieży, najlepszego mistrza, najlepszego brygadzystę. Najlepszego wybiera załoga, a wybrani otrzymują nagrody, dyplomy i odznaki. W niektórych zakładach pracy naturalny i niezbędny system oceniania pracowników postarano się wykorzystać dla pracy wychowawczej. Dobrzy pracownicy, rokujący nadzieje na awans zostają zaliczeni do kadry rezerwowej. A o fakcie tym powiadamy się ich pisemnie, składając im jednocześnie gratulacje i życzenia dalszego doskonalenia swoich umiejętności zawodowych.

Najlepsi, zasłużeni i wzorowi pracownicy, wyróżnieni przez załogę i kierownictwo zakładu korzystają z pewnych przywilejów, na przykład pierwszeństwa przydziału wczasów. Ale przecież nie o przywileje tu chodzi, a o zadowolenie z wykonywanej pracy, z uznania, jakie się zdobyło, co jest znakomitą, a ciągle jeszcze nie wszędzie należycie docenianą zachętą do dalszej wydajnej i dobrej pracy.

Przestrzegalbym jednak przed mechanicznym przenoszeniem wzorów. Chodzi tu bowiem nie o to, że tak trzeba robić, bo inni też tak postępują. Chodzi o uświadomienie sobie celu takiego działania, o zrozumienie, że „nie samym chlebem człowiek żyje” — jak głosi stare przysłowie, że nie tylko pieniężna nagroda przynosi satysfakcję, ale zarówno ona, jak i nagroda moralna powinny być jedynie instrumentami w realizacji zadań wychowawczych, jakie spoczywają na każdej organizacji partyjnej i związkowej, na każdej społeczności, w której żyjemy i obracamy się na co dzień.

TRIENNALE



Leszek Różga — „Bezmiar V”

Mamy już piątą ŁÓDZKĄ WIOSNĘ ARTYSTYCZNĄ. Wśród wielu jej imprez I TRIENNALE MALARSTWA I GRAFIKI. Jest to po I TRIENNALE TKANINY PRZEMYSŁOWEJ I UNIKATOWEJ druga ogólnopolska impreza organizowana przez łódzkie środowisko plastyczne. Odbędzie się ona pod hasłem: NASZ CZAS — METAFORA — TENDENCJE.

Łódź nie posiada odpowiedniego lokalu wystawowego, w którym można byłoby urządzić tego typu wystawę. Sala wystawowa „TEXTILIMPEXU”, która w czasie I Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej pełniła z powodzeniem rolę sali ekspozycyjnej, teraz stała się dla artystów niedostępna. Z konieczności więc trzeba było całą imprezę rozczłonkować i rozlokować w salach aktualnie dostępnych. I tak wystawę malarstwa zorganizowano w Ośrodku Propagandy Sztuki, wystawę malarstwa „Tendencje metaforyczne w dawnej sztuce polskiej” — w Salonie Sztuki Współczesnej, kollokwium poświęcone problematyce sztuki metaforycznej i nadrealnej — w KLUBIE ZPAP „PIWNICA”. Natomiast wystawa grafiki znalazła schronienie w DOMU TECHNIKA, ale też odbędzie się 4 czerwca 1973 r., wraz z wręczeniem nagród laureatom I Triennale Malarstwa i Grafiki.

Łódzkie środowisko plastyczne cieszy się powszechnym uznaniem społeczeństwa, szeroko znane są bowiem jego liczne i cenne inicjatywy, a także ambitne zamierzenia. Przebudowa i modernizacja Łodzi stwarza temu środowisku dodatkową szansę nie tylko wewnętrznego rozwoju, ale służenia swoją pracą miastu i regionowi. Można mieć pełną gwarancję, że środowisko to skorzysta z tej szansy i dlatego z przykrością trzeba stwierdzić, że tak cenna i wartościowa impreza, jaką jest I Triennale Malarstwa i Grafiki nie znalazła należytej oprawy, że na ten czas nie można było udostępnić artystom najlepszych sal wystawowych, jakimi Łódź aktualnie dysponuje. Jak tak dalej pójdzie, to może za lat trzy na II Triennale Malarstwa i Grafiki, organizowanego w ramach kolejnej Łódzkiej Wiosny Artystycznej, wybierzemy się do... Krakowa, Poznania lub Warszawy.

MARCIN RODAK



Jacek Gaj — „Kuszenie” — miedzioryt



PIERWSZA MACHINA PAROWA

Ludwik Geyer przybył do Łodzi z Saksonii w 1838 r. z nader ubożuchną chudością. Bezwzględny

w postępowaniu, nie przebierający w środkach, wkrótce dochodzi do znacznej fortuny. W 1833 r. jest już w posiadaniu maszyny walcowej do drukowania perkalików. „Posiadając tę maszynę — pisze Henryk Stanisław Dinter w pracy „Dzieje wielkiej kariery” — Geyer, staje się dyktatorem mody w kraju, gdyż drukując desenie, może dzięki wymiennym walcom stosować coraz to inne wzory tkanin”. Dla Geyera pracuje 60 warsztatów tkackich w Łodzi i 100 w Pabianicach, niezależnie od produkcji we własnej fabryce. Tkackie pracują systemem nakładowym. Geyer dostarcza im surowiec i otrzymuje gotowy produkt. Plac im za robotę, obniżając ceny do najniższych granic. Nie ma konkurencji. Jest monopolista, więc nie potrzebuje liczyć się z żądaniami tkaczy,

którzy są całkowicie od niego zależni.

Za lokiel wyprodukowanego perkalu Geyer płaci 15 groszy, a po wydrukowaniu u siebie sprzedaje po 1 złp. Zarobki tkaczy nie wystarczają nawet na liचे życie. Zmusza ich to do próśb o podwyżkę cenności o dwa, trzy grosze na lokielu. Geyer nie ustępuje. Tkackie wnoszą protest. Wówczas Geyer decyduje się zakupić za granicą maszynę parową, przedalnie mechaniczną i mechaniczne warsztaty tkackie. Wysła swoich przedstawicieli dla dokonania zakupu. Sprawę trzyma w tajemnicy przed tkaczami. Wiadomość dociera jednak do nich i w obawie o własną egzystencję występują do władz z prośbą, aby te zabroniły Geyerowi sprowadzenia urządzeń mechanicznych. Będąc i tak już w ciężkiej sy-

tuacji, podnoszą protest w obawie, że stracą i ten niedźny zarobek. Cóż wobec maszyn znaczyć będą ich ręczne warsztaty!

W lutym 1838 roku tkackie łódzkie i pabianiec wysyłają obeszne pismo do Komisji Przychodu i Skarbu motywując, że maszyny „części tkaczów żywność odbierają”.

„(...) I tak już zapłata za roboty tkackie tak zaniziona — skarżą się — że tkackie niedźnie tylko potrafią się używić. Przecież i jeszcze do tego wymienione maszyny do skutku, wtedy tkackie wszyscy żebrakami zostaną”.

Ludwik Geyer motywował swoje stanowisko tym, że decydując się na wprowadzenie mechanizacji produkcji, kieruje się jedynie dobrem publicznym. Pocięszaj tkaczy, że będą mogli znaleźć pracę u niego w fabryce i „daleko korzystniejsze mieć będą dla siebie zarobkowanie niż gdyby na własną wyrabiał rekę”. Po wysłuchaniu obu stron władze miejskie poparły stanowisko Geyera i zawyrokoowały: „(...) wnioskiem jest Urzędu Muncypalnego aby Starsi Cechu z swą reklamacją jako bezzasadną i jedynie z nienawiści i zardrości pochodzącą usunięci zostali”.

Rząd Królestwa Polskiego nie przychylił się do prośby tkaczy z Łodzi i Pabianic, bowiem wyszedł z założenia, że wprowadzenie mechanizacji spowoduje postęp w przemyśle polskim,

poza tym stwierdził, że przez nią znajdzie zatrudnienie rodzima ludność.

Maszyna parowa, przedział mechaniczna i mechaniczne warsztaty tkackie zostają zakupione w Belgii, Francji, ich odbiwa się wozami z Serajem i Liege do Antwerpii, stamtąd do Gdańska statkiem, z Gdańska do Nieszawy Wisłą i z Nieszawy do Łodzi, wozami. Maszyny przybyły do Łodzi 22 stycznia 1838 roku. Nikt z pracowników Geyera nie umiał obchodzić się z nimi, Geyer zmuszony był zatrudnić specjalistów zza granicy, którzy maszyny zainstalowali i nauczyli jego pracowników obsługiwać ich. To wszystko kolosalnie wiele kosztowało.

Rok 1838 jest początkiem pracy pierwszej maszyny parowej w Łodzi. Po 23 latach robotnicy łódzcy, doprowadzeni do rozpacz swą niedzą, rzucą się na maszyny w fabryce Scheiblera i w straszliwym gniewie, tuż je będą i rozbić, myśląc, że one są przyczyną ich nieszczęścia.

TEODOR SUJCZYŃSKI



Ten reportaż, a właściwie sucha relacja z zasłyszanej przeze mnie niedawno rozmowy jest opowiadaniem o autentycznym wydarzeniu, które miało miejsce w jednym z domów na przedmieściu Łodzi. Nie ukrywam przy tym, iż początkowo mnie samemu przyszło z trudem uwierzyć, że gdyby nie przypadek historia ta zajęłaby może tylko parę wierszy w kronice wypadków lub... parę tomów akt w poszlakowym procesie o morderstwo. Ale — nie uprzedzamy faktów.

1. Był drugi dzień Świąt Wielkanocnych, a ciepło, wesołe popołudnie nie usprawiedliwiało zupełnie ponurego tematu rozmowy, jaką prowadzili z coraz większym zacietrzewieniem liczni goście mojego przyjaciela Andrzeja B.

Mówiliśmy bowiem o... morderstwach. A ściślej mówiąc o morderstwach, których sprawców nie udało się ująć, zaś przebieg i okoliczności zbrodni pozostały niewyjaśnione do dziś. Zaczęło się od tego, że ktoś wspominał o niedawnym makabrycznym wypadku na Bałutach, ktoś inny powiedział:

— A pamiętacie to tajemnicze zabójstwo Helenki N.? I tak powoli, wraz z zapadającym zmierzchem, dobrneliśmy w końcu do „zbrodni doskonałej” — absolutnej.

Pamiętam, że długi wywód wygłosił na ten temat inżynier G., potem daliśmy się wciągnąć do dyskusji prawie wszyscy, aż w pewnym momencie nie angażujący się dotąd zbytnio w nasze rozważania Gospodarz powiedział:

— Pozwólcie, że przeczytam wam swego rodzaju definicję, która stanowi z pewnością najlepsze podsumowanie waszego sporu...

Dopiero teraz zauważyłem, że pan domu trzyma na kolanach świeżo wydany kry-

minał Joego Alexa pt. „Jesteś tylko kotem”. Otworzył go na wybranej widać przedtem stronie i w ciszy — pełnej naszej zrozumiałej ciekawości — zaczął czytać: „...taka zbrodnia jest niemożliwa. Musiałaby być popełniona przez człowieka posiadającego absolutne alibi i motyw zabójstwa, którego nie mógłby się domyślić ani odgadnąć nikt. Zbrodnia absolutna byłaby z konieczności zbrodnią, która eliminuje wszystkich możliwych zabójców co już w założeniu jest absurdem. Nie może przecież zaistnieć sytuacja, w której mord został popełniony i nikt nie mógł go popełnić. Taką zbrodnią mógłby popełnić tylko diabeł...”

— Albo KOT... W ciszy, jaka przedtem zapadła, te dwa słowa wypowiedziane spokojnym, ale stanowczym tonem były słyszane doskonale przez wszystkich. I prawie wszyscy rzucili się z pytaniami na panią M.

— Co to znaczy? Dlaczego? Co pani przez to rozumie? Czemu właśnie kot? Proszę mówić jaśniej...

Widać było, że to kategoryczne i tajemnicze stwierdzenie — wypowiedziane w dodatku przez daleką od egzaltacji, oszczędną w słowach i nieskorą zwykle do żartów panią M. wzbudziło naprawdę nieklamną ciekawość.

2. To było ponad rok temu — rozpoczęła swoje opowiadanie pani M. — w pewną mroczną niedzielę. Wraz z mężem zaprosiliśmy na herbatę paru znajomych. Wieczór był paskudny. Już od rana padał deszcz, wiatr weiskał się wszelkimi możliwymi szparami i huczał po kątach — siedzieliśmy w domu jak dwie przynębione sowy z nadzieją, że nasi goście nie zawiodą i że razem znajdziemy lekarstwo na przykry nastrój i nudę.

Niestety, część zaproszonych nie dopisała, reszta gości siedziała markotnie, rozmowa się nie kleiła, dowcipy przyjmowano z wymuszonymi uśmiechami, a sztywną, nieprzyjemną sytuację rozładował w pewnym sensie dopiero nasz syjamski — Pluto, który wylazł z jakiegoś kąta i nagle wskoczył na kolana jednej z pań.

— „Och, och!” — proszę go wziąć — proszę go wziąć! — narobiła niepotrzebnego krzyku, choć Pluto siedział spokojnie nie pojmując o co chodzi, jako że chciał jedynie zwinąć się w kłębek i zasnąć. Zabrałam go jednak z kolan nerwowej pani — obrażony zaszyl się w kąt za kanapą — ale ożywienie, jakie wywołał nie zgłosił. Moi goście rozpoczęli bowiem wkrótce gwałtowną dyskusję o wadach, zaletach, obyczajach i tajemnicach kociego rodu, a w pewnym momencie jeden z panów nie biorący dotąd udziału w rozmowie powiedział:

— Pluto?... Pani kot wabi się Pluto? Hm... to zupełnie jak ten fatalny kot-widmo z noweli Edgara Allana Poe’go.

— Co takiego? Proszę nam opowiedzieć — uchwycili się na nowo tematu moi goście, a ów pan, z zimną krwią i nie szczedząc nam makabrycznych szczegółów, opowiedział historię pewnego zbrodniarza, który po zamordowaniu żony zamurował jej

ciało w piwnicy — nie dostrzegłszy, że do przygotowanej w tym celu wnęki w murze wśliznął się także... kot. W czasie policyjnych poszukiwań zaginionej kobiety — dobiegające z piwnicznej ściany kocie jęki i szloch spowodowały wykrzyki zbrodni...

Historia była doprawdy ponura i trudno się dziwić, że rychło po jej zakończeniu goście zaczęli się zbierać do wyjścia — wyrzucając sobie na pewno, że zdecydowali się przyjechać na nasz wygwizdów w taką pluchę.

Dzieci już spały w swoim pokoju — wkrótce poszliśmy spać i my z mężem. Miałam tej nocy koszmarny sen. Nie pamiętałam później dokładnie ich treści, ale wiem, że walczyłam przez dłuższy czas z czymś co zasypywało mi twarz, przyniatało piersi, próbowałam wydobyć się spod stosu przywalających mnie gruzów, aż w końcu obudziłam się i podnosząc się z trudem na łóżku nie bardzo wiedziałam gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Uplynęła dłuższa chwila zanim zrozumiałam i poczułam na dobre, że zapach, który mnie dławi i wywołuje mdłości to zapach gazu...

Jak lunatycka, potykając się po drodze, pobiegłam do kuchni. Proszę mi wierzyć, — byłam u progą omdlenia i naprawdę ostatnim wysiłkiem otworzyłam okno. Dopiero potężne uderzenie wiatru i kłęb świeżego powietrza, jaki wpadł do kuchni, ocucił mnie na tyle, że po omacku dotarłam do kucharki, z której z cichym sykkiem ulatniał się gaz. Przesunęłam kurek i cofnęłam się do pokoju, już teraz z krzykiem, przewracając po drodze krzesło, budząc dzieci i męża. Pootwieraliśmy okna i wiatr wymiótł szybko z mieszkania ten ohydny, słodki zapach. Potem zapaliliśmy w kuchni światło i wszyscy w czwórce, w bieliznie, drząc z zimna medytowaliśmy nad tym, jak to się stało? Jak to się mogło stać? — Gaz był przecież zamknięty — sprawdzaliśmy to przed pójściem spać oboje z mężem, dzieci już wtedy spały, a więc kto... W tym momencie usłyszeliśmy skądś ciche, żalodne miauknięcie kota.

— Pluto...! Gdzie jest Pluto? — zawołały dzieci. Rozpoczęliśmy gorączkowe poszukiwania, by znaleźć go wreszcie weisniętego w ciasny kąt za szranką z wę-

głem. Wyglądał przerażająco. Był niemal zupełnie sztywny, niesamowicie spocyny, tak że sierść wyglądała jak polana wodą i prawie dogorywał. Wzięliśmy go szybko do okna, masowaliśmy, robiłiśmy mu sztuczne oddychanie i powoli, powoli nasz Pluto zaczął przychodzić do siebie. I wtedy to przyszło nam do głowy wyjaśnienie — jedyne możliwe wyjaśnienie całej historii, która mogła zakończyć się śmiercią czterech osób i samobójstwem ich przypadkowego mordercy.

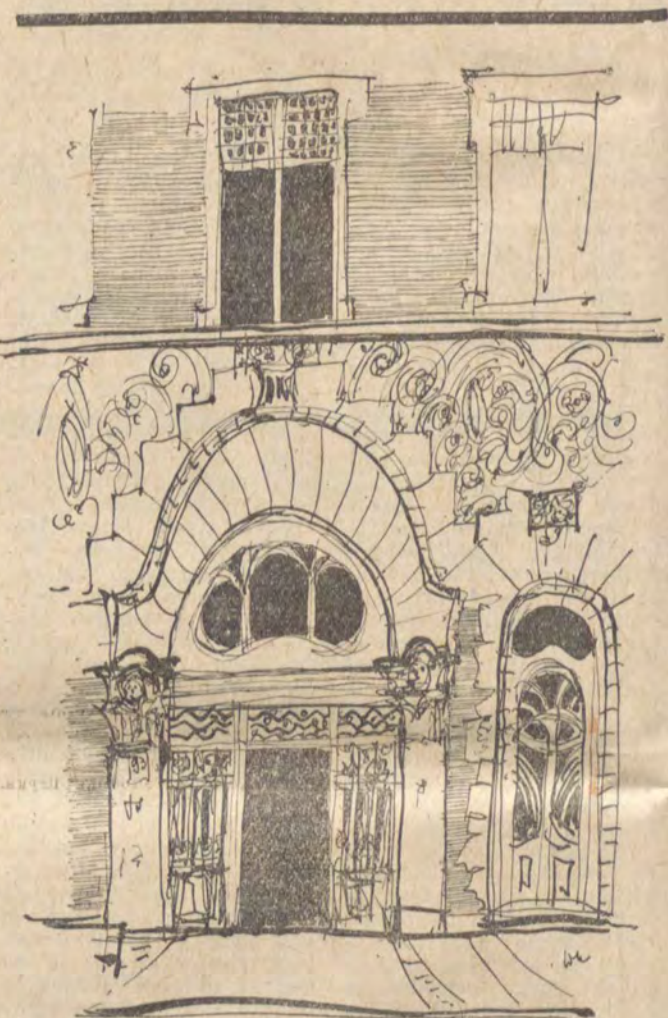
Nasz Pluto — wielki pieścuch i sybaryta — pasjami lubi się wylegiwać na ciepłej blasze kuchennego pieca. Naturalnie po wygaszeniu w nim ognia. Na piecu tym stoi również stara, dwupalnikowa kuchonka gazowa typu „junkers”. Włączenie gazu następuje tu nie poprzez przekreślenie kurka, ale zwykle przesunięciem małej dźwigniki. Po

naszym pójściu spać — na spoczynek zdecydował się także Pluto. Gdzie? — naturalnie na piecu. Przechodząc na swoje ulubione legowisko musiał prawdopodobnie trącić otwierającą przepływ gazu dźwignikę. Kto wie — może nawet się nią bawił? Na szczęście miałam tej nocy przykre, koszmarny sen i... obudziłam się w porę...

3. Pani M. skończyła opowiadanie, a po długiej chwili, w której każdy z nas rozważał, co by było gdyby... Nagle odezwał się jeden z gości. Mówił niby pół serio, pół żartem, ale i tak należało go za to wyrzucić za drzwi. Zapytał bowiem, zwracając się do pani M.

— Jest pani zupełnie pewna, że zrobił to Pluto...?

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK



Brama secesyjnego domu — al. Kościuszki 93 Rys. W. Kondek



KSIAZKA

O Czerniku

Choć pisarskie dzieło Stanisława Czernika jest już w zasadzie skończone i zamknięte, twórczość wybitnego poety nie doczekała się jeszcze najmniejszego choćby opracowania monograficznego. Pisząc w zasadzie zamknięte, gdyż w pośmiertnych papierach autora „Ręki” zachowała się część nigdy nie publikowanych manuskryptów, zawierających wiersze, fragmenty prozy, a także utwory przeznaczone na scenę, wreszcie szkice krytyczne. Toteż dotkliwą luką w opracowaniach o „ojcu” autentyzmu wypełnił wydana właśnie staniem Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Ostrzeszowie, gdzie przed laty redagował Czernik swoją

„Okolicę Poetów”, bibliografia jego życia i twórczości. Historia tej publikacji jest, jak na nasze stosunki edytorskie, dość niezwykła. Oto biblioteka ostrzeszowska nadając księżniczce imię Stanisława Czernika zatroszczyła się równocześnie o dokumentację twórczości swego patrona. Opracowania bibliografii podjął się znany łódzki bibliotekarz Michał Kuna i dokonał tego, przy czynnej pomocy syna Czernika, Mieczysława, w rekordowo krótkim czasie, bo w kilka miesięcy. A przecież, mimo pośpiechu, dokonane przez nich zestawienie może być wzorem dla tego typu opracowań.

„Bibliografia” poprzedzona została kroniką życia i dzia-

łalności Stanisława Czernika obejmującą materiały z lat 1899—1969. Autor opracowania nie ograniczył się zresztą do zazwyczaj stosowanego w takich przypadkach kalendarium twórczości. I chociaż nie wszystkie przywołane fakty biograficzne mają pełne udokumentowanie w piśmiennictwie, tam tylko, gdzie jest to możliwe, Kuna powołuje się na źródła drukowane albo też na materiały zachowane w domowym archiwum Stanisława Czernika. Słowem zawarte w tym dziele informacje cenne będą również dla tych, których stosunek do biografii poety jest czynny: dla badaczy, studentów, komentatorów jego twórczości.

Podstawowy trzon publikacji stanowi bibliografia podmiotowa twórczości Czernika. Zawiera ona 1062 pozycje uszeregowane chronologicznie poczynając od roku 1922, kiedy to w czasopiśmie „Życie Szkolne” ukazał się artykuł przyszłego autentyzmy zatytułowany „Szkoła dzisiejsza, a szkoła przyszłości”, aż po rok 1972. Zestawienie to podzielone zostało na dodatkowe rozdziałki, osobno odnotowano w nim utwory poetyckie, prozę, krytykę i publicystykę literacką, twórczość przekładową i varia, jest więc dość przejrzyste, szkoda jednak, że nie wyodrębniono dodatkowo drucków zwartych, publikacji książkowych, które giną nieco na tle drobnych publikacji na użytek czasopism i gazet. Ale

godne podkreślenia jest to, że dzieło ten przynosi jednocześnie informacje dotyczące krytyki literackiej o książkach Czernika z pełnym podaniem źródeł. Uwzględniono także przekłady twórczości poety na języki obce, co pozwala nam zorientować się w oddziaływaniu jego teorii i dokonań artystycznych za granicą. Czytając te noty o publikacjach Czernika, zestawione pieczołowicie przez bibliografę, zdumieni jesteśmy wszechstronnością zainteresowań zmarłego poety i benedyktyńską jego pracowitością. Zwłaszcza, że przeszły wiek nie zahamował ani na moment jego twórczej aktywności i ostatnie lata życia Czernika szczególnie zaowocowały książkami. Zresztą już po śmierci autora „Ręki” ukazał się osobliwie przez niego zestawiony retrospektywny wybór wierszy pt. „Wiatr od ziemi”, tom wspomnień „Peregrynacje”, wreszcie zbiór szkiców i esejów „Sny i widma”.

Z tym większym zaciekawieniem czyta się więc kolejny rozdział „Bibliografii” zatytułowany „Rękopisy”. Puszczając rękopiśmienna Czernika, aktualnie porządkowana, wskazuje na wielotorowość zainteresowań poety. W materiałach tych znajduje się sporo wierszy nigdy do tej pory nie publikowanych, wreszcie tom opowiadań historycznych z życia i walki polskich chłopów pt. „Przez

tysiąc lat”, który ogłoszony został drukiem tylko w nieznacznej części. Szkoda, że zabrakło informacji o listach Czernika, który prowadził przecież bogatą korespondencję i tym bardziej już teraz trzeba zatroszczyć się o zabezpieczenie jego epistolarnej spuścizny. Rozproszona może bezpowrotnie zaginąć.

Dział bibliografii podmiotowej zamykają wypowiedzi samego Czernika ogłoszone w prasie oraz wywiady z poetą. Jest ich sporo i wraz z materiałem zawartym w publikowanych przez niego wspomnieniach stanowi ważny klucz do zrozumienia całości jego twórczego dzieła.

Słusznie chyba zrobiono wyodrębniając informacje o redagowanym przez Czernika w Ostrzeszowie miesięczniku „Okolica Poetów”, tym bardziej, że istnieje już opublikowana przez Ewę Mendelską bibliografia zawartości tego czasopisma. Została ona przez Kunę uzupełniona spisem recenzji i omówień, które ukazywały się w prasie międzywojennej jako pokwitowanie tej działalności edytorskiej i redaktorskiej poety.

Równie bogato opracowany został dział bibliografii przedmiotowej odnotowujący piśmiennictwo o Stanisławie Czerniku. Autor not przyjął i tutaj układ chronologiczny, rozbudowując je niekiedy o komentarze wyjaśniające charakter przywoływanych

wzmianek czy omówień. I tu widać troskę o pełnię opracowania cechującą całą „Bibliografię”, uwzględniono także głosy o autentyzmie, zarówno polemiki z pisarzem, jak też deklaracje twórców manifestujących swoje sympatie dla głoszonej przez Czernika teorii. Dane te powinny stać się zachętą do pełniejszego przebadania wpływu, jaki autentyzm wywarł na poszukiwaniach polskiej poezji.

Dodajmy wreszcie, że „Bibliografia” zawiera pełny indeks tytułów utworów Czernika oraz indeks wszystkich nazwisk występujących w tej książce wraz z numerami odsyłającymi do poszczególnych pozycji. Ułatwia to znakomicie odnalezienie poszukiwanych informacji i stanowi istotnie uzupełnienie publikacji, która przynosi tak obszerną dokumentację twórczości Czernika wprost wokuje do opracowań monograficznych o „ojcu” autentyzmu. Zwłaszcza, że jest to twórczość ciągle żywa, jak o tym świadczą ilość omówień, które ukazywały się już po śmierci poety.

KONRAD FREIDLICH

Michał Kuna: „STANISŁAW CZERNIK — ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ; bibliografia”. Ostrzeszów 1972. Wydano nakładem Wydziału Oświaty i Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Ostrzeszowie.



Kronopie famy i nadzieje

„Od lat pracuję w Unesco i innych organizacjach międzynarodowych, a mimo to zachowuję pewne poczucie humoru, w szczególności niemałą zdolność abstrakcji, czyli że jeżeli jakiś typ mi się nie podoba, skreślam go z mapy mocą samej decyzji i podczas gdy on gada i gada, ja jade sobie na wyspę Melville, a on, biedaczysko, wyobraża sobie, że go słucham”.

Oto i cały Julio Cortazar — pisarz argentyński, od wielu lat stale mieszkający w Paryżu, autor znanej polskiemu czytelnikowi powieści „Gra w klasy”, zbiorów opowiadań „Tajemna broń” i „Dla wszystkich ten sam ogień”.

Obecnie „Czytelnik” prezentował nam znakomitą książkę Julio Cortazara „Opowieści o kronopach i famach i inne historie”. Opowieści te przełożyła Zofia Chadzyńska, a ilustrował Jan Miodożeniec. Jest to książka znakomita, ale i specyficzna, bo pełna nieoczekiwanego humoru, łagodnej kpiny z życia, poezji, gdzie rzeczywistość niepostrzeżenie przechodzi w świat snu i odwrotnie. Fantazja Julio Cortazara sprawia, że czytając te poetyczne i fantastyczne przypadki kronopów, fam i nadziei, Czytelnik sam po trosze staje się poetą.

Famy — to zamożni, wygodni drobniomieszczanie, nadzieje — skromne, chciwe ludziki, stale marzące o przejściu do sfery fam, a kronopie — to bracia-laty, wrażliwi i z fantazją. Oto przykład: „Faktem jest, że żółwie są wielkimi zwolennikami szybkości. Nadzieje to wiedzą, ale się nie przejmują. Famy to wiedzą i śmieją się. Kronopie to wiedzą i za każdym razem, kiedy spotykają żółwia, wymijają pudełko z pastelami i na okrągłej tarczy żółwia rysują jaskółeczkę”.

Książka Julio Cortazara ma jeszcze i tę zaletę, że można ją czytać od końca, w środku i na wrywki. Opowieści o dziwach naszego świata są wprawdzie ułożone w rozdziały, ale składają się z drobnych historyjek. Są tu też instrukcje: jak płakać, śpiewać, bać się, rozumieć sławne obrazy czy tępić mrówki w Rzymie.

Mam ogromną ochotę zacytować tu jedno z cudownych zajęć. „Cóż za cudowne zajęcie obciąć nogę pajakowi, włożyć do koperty...”, ale to nie ma żadnego sensu, bo te książki trzeba samemu przeczytać. Można od końca, od środka i na wrywki.

Julio Cortazar — „Opowieści o kronopach i famach i inne historie”, Czytelnik, Warszawa 1973, str. 139, cena: 20.— zł.

GUENTER KUNERT

„Obciążony dzieciństwem państwowo spartaczonym. Bez wyuczonego zawodu. Nie nosił munduru Hitlera. Studia twające pięć semestrów”. Tak mówi o sobie Günter Kunert, jeden z najlepszych pisarzy NRD. Urodzony w 1929 roku w Berlinie, mieszka tam do dziś i to miasto obsesyjnie niemal pojawia się w jego twórczości. Kunert — poeta i prozak — biega po różne formy wypowiedzi. Nieobca jest mu satyra, ballada, groteska, refleksja filozoficzna, subtelna liryka. W roku 1962 pisarz otrzymał nagrodę im. Henryka Manna.

W Polsce ukazał się do tej pory tylko jeden tom jego poezji „Nie tylko dla mnie”, wydany w 1969 roku. „Pogrzeb odbędzie się w ciszy” — zbiór jego opowiadań, szkiców, impresji i miniatur lirycznych zebranych z dotychczasowego dorobku autora, — przygotowało obecnie Wydawnictwo Poznańskie. Nie tylko Berlin, jego uliczki, domy, mieszkańcy są tematem utworów Kunerta. Ciągłe powraca do czasów wojny, penetruje historię, która według niego wpływa na kształt współczesności. Jest optymistą, widzi wady i błędy ludzkości, ale jak na prawdziwego humanistę przystało, wierzy w jej uzdrowienie, czemu niestannie daje wyraz w swoich pełnych filozoficznej zadumy opowieściach.

Większość utworów Kunerta, zawartych w tomie „Pogrzeb odbędzie się w ciszy”, przetłumaczył Wilhelm Szewczyk, który jest także autorem wstępu. Poza tym tłumaczyli: Stefan H. Kaszyński, Jan Koprowski, Maria Krystofiak i Leon Szwed.

Günter Kunert — „Pogrzeb odbędzie się w ciszy”, Wydawnictwo Poznańskie — 1973, str. 218, cena: 17.— zł.

POECI AUSTRIACCY

„W błękitie kształt swój odmalować” — to tytuł antologii współczesnej poezji austriackiej. Ukazała się ona nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Warto zwrócić uwagę na ten pokaźny rozmiarowy zbiór wierszy, napisany w okresie powojennym, będący przeglądem dorobku ponad 40 twórców austriackich, w tym także najmłodszych, „próbujących stosować doświadczenia stylistyczne popartu i modnej obecnie konwencji psychodelicznej”.

Autor wyboru i wstępu, zarysującego główne tendencje współczesnej poezji austriackiej — Stefan H. Kaszyński — na początku antologii umieścił wiersze Rainera Marii Rilkego, Hugo von Hofmannstahla, Franca Werfla i Georga Trakla — poetów powszechnie znanych, których twórczość wywarła niewątpliwie ogromny wpływ na kształtowanie się późniejszych generacji poetyckich. „Współczesna poezja austriacka wysoko ceniona jest w Europie za swój awangardowy charakter oraz ogólnoludzkie wartości” — pisze we wstępie Stefan H. Kaszyński. Dzięki twórcom antologii również czytelnik polski może wyrobić sobie sąd o tej mało znanej jeszcze u nas twórczości.

Wiersze tłumaczyli: St. Barańczak, Z. Bienkowski, R. Danczyński, J. Danielewicz, J. Iwaszkiewicz, S. H. Kaszyński, J. Koprowski, A. Kowalkowski, R. Krynicki, M. Krystofiak, St. J. Lec, L. Lewin, S. Napierski, W. Piwowarczyk, J. Przybos, R. Stiller, T. Sliwiak, E. Wachowiak. Noty biograficzne opracowała Maria Krystofiak.

B. M.

„W błękitie kształt swój odmalować”, Wydawnictwo Poznańskie 1972, str. 391, cena: 35.— zł.



(3)

Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA

Rose-ann zaczęła się malować. Poczulam woń jej kremu, a potem przyprawiający o mdłości zapach pudru. Mówiła do dziadka:

— Powiedz Sleenie ten inny powód, prawdziwy powód. Powód, dlaczego nie chcemy, żeby się waleśała po ulicy. No dalej, ty tłuściochu, powiedz jej. — Po głbie poznałam, że maluje sobie wargi. Sama nigdy się nie malowała, ale jak zaczął usta i zęby, mój głos brzmi tak samo jak jej, kiedy się maluje.

— Powiedz, dziadku! — Musiałam wiedzieć.

— Twoja twarz... nie jest do pokazywania — odparł.

Nie do pokazywania! Zrobiło mi się smutno; tak smutno było panu Faberowi tego dnia, kiedy mi powiedział, że umarło mu dziecko.

— Nie do pokazywania? Ale dlaczego?

— Masz szramy po kwasie. Tej nocy, kiedy Harry...

— Wiem o tym. Czy moja twarz jest aż tak szkaradna, że nie można na nią patrzeć? Tak, dziadku? — Czemu nie wiedziałam o tym wcześniej?

— Nie taka szkaradna. Ale też i nie jest ładna, Sleenie. — Głos jego był jakiś stary i zmęczony. Żal mi się go zrobiło.

— Czy jest rzeczywiście taka brzydka, Rose-ann? — zwróciłam się do niej.

— Twoja twarz to obrzydliwe szkaradziństwo — odparła Rose-ann. Przecież to ona sprawiła, że mam taką twarz. Nie rozmyślnie, tego byłam pewna. Ale znów zrobiło mi się smutno, bo w jej głosie nie słyszałam ani krztyn żalu, że to ona, choćby przez przypadek, zrobiła z mojej twarzy to obrzydliwe szkaradziństwo.

Rose-ann powiedziała jeszcze, że ona raz na zawsze ma dość tych zwiariowanych pomysłów. Dyskusja została zamknięta, koniec.

— Sleenie, zapomnij o parku. Pomyśl o tych wszystkich dobrodziejstwach. Jakże posiadasz... zapomnij o parku.

— Nie! — krzyknęłam. — Jeżeli moja twarz jest taka paskudna, to załóż któryś twój kapelusz... ten z woalka.

— Hi, hi, hi! Cha, cha, cha! — śmiała się Rose-ann do rozpuku. — Aleś mnie ubawiła! Aleś mnie ubawiła! — zaśmiała się.

— Ty i mój kapelusz. Cha, cha, cha!

— Przygotuj się, Sleenie, wychodzimy do parku — powiedział dziadek. — Nie potrzebujesz kapelusza. Niepotrzebne ci żadne ozdóbki Rose-ann. Przygotuj się.

— Teraz? — spytałam.

— Tak, teraz.

Nagle przestraszyłam się na myśl o pójściu do parku. To musi być dziwnie. Pełno ludzi. Obcy ludzie. Będą na mnie patrzeć. Śmiać się na widok bezradnej, ślepej dziewczyny siedzącej na kocu pokrytym koralikami. A może będzie padało? Albo wally pioruny? Panicznie się balałam grzmotów. Kiedy grzmiało, wpelzałam pod łóżko. A co będzie, jak nadciągnie burza? I ja na dworze, sama jedna?

Może także przyjdzie policjant i kazać mi się „wynosić”, bo moja zeszpecona twarz przeraża ludzi. Już lepiej, żebym została w domu.

Poczulam się nieomal chora z doznanego zawodu. Ale żeby się nie dowiedzieli, czemu zmieniłam zamiar, wywołałam przedmiotem taką awanturę, udało mi się, że się niepokoję ze względu na pana Fabera.

— Myślę, że lepiej nie pójdę dzisiaj. Ma przyjść pan Faber. Muszę mu się wytłumaczyć. I pozbierać koraliki. (W jaki sposób uda mi się zebrać rozsypane koraliki? To mi zajmie wiele godzin). Muszę więc czekać na pana Fabera — zakończyłam.

— To racja — przyznała Rose-ann. — Sleenie, przygotuj korałki na czas. Mam przed sobą ciężką noc. Rose-ann trzasnęła drzwiami. Słyszałam stukot jej obcasów — stuk, stuk, stuk — kiedy szła korytarzem.

— Nie przejmuję się panem Faberem. Wytłumaczę mu wszystko. — Wprost nie mogłam wierzyć uszom. Dziadek zgarniał koraliki na kuptkę i wysypywał je potem do pudełka.

— Uszykuj sobie coś do jedzenia — zwrócił się do mnie.

— Powiniennem już iść. Wiesz, że nie mam wolnego dnia. Wiesz, jak mam pracować. Muszę być na czas. No, ruszaj się.

— Tak, Oczywiście, tak. Zaraz sobie coś uszykuje. — Wrzuciłam do papierowej torebki kilka herbatników. — Jestem gotowa — oznajmiłam.

— No, ale przecież nie mogę tego zrobić co dzień. — Dziadek zaczął się denerwować i niecierpliwie.

— Co dzień! — roześmiałam się, ale nie był to śmiech radosny ani wesoły, brzmiał, jakoś słabo i niemądre. — Oczywiście, że nie, dziadku, nie każdego dnia. Tylko dzisiaj, no i może jeszcze kiedyś czasem — powiedziałam. Dygotałam, trzęsłam się cała jak zwiariowana. — Jestem gotowa.

— Nie masz zamiaru się ubrać? — spytał zgorzonym tonem.

— Ubrać? Byłam nadal boso i w pidżamie. Roześmiałam się. Dziadek mi zawtórował. Śmialiśmy się oboje. Bardzo to było przyjemne.

— Lepiej już ubierz się.

— Oczywiście! — Zasnęłam zadowolona i kiedy na-

łożyłam białynę, powiedziałam: — Co powinnam założyć? Nie mam wielkiego wyboru. Dziadku, przyjdź i wybierz mi coś. — Posunęłam się trochę za daleko. Powinnam była wiedzieć. — Włóż cokolwiek! — krzyknął. — Włóż cokolwiek! — Tak, tak, cokolwiek! — Ale jak ja wyglądam? Jak paskuda? Czy wszystko u mnie jest takie paskudne, jak oczy i twarz? Tak pragnęłam wiedzieć! Boże! Jakżebych chciała wiedzieć!

Aż się cała spocila. A kiedy wreszcie usiadłam, opierając się plecami o pień drzewa, byłam cała mokra i wszystko we mnie dygotało. Usadowiłam się na kocyku. Przede mną leżało siedem małych pudełeczek z koralikami. Pudełko z nimi miałam na kolanach. Oddychałam głęboko. Powietrze było tak samo słodkie, jak poprzednie. Wręcz cudowne! Poczulam się znów wspaniale i byłam nieomal w siódmym niebie, kiedy dziadek ściągnął mnie z powrotem na ziemię.

— Sleenie? — z jego głosu wywnioskowałam, że coś jest nie tak, jak trzeba.

— Co? — szepnęłam. Nie mogłabym znieść teraz niczego złego. — Co takiego? — spytałam.

— Sleenie. A jak masz zamiar zrobić z tym, no wiesz z czym? — zaniepokoił się nagle dziadek.

Zawsze w ten sposób mówił o osobistej potrzebie. Nawet kiedy byłam mała, nigdy nie powiedział wprost: „Zsiusiałaś się w majtki!”, tylko: „O popatrz! Zrobiłaś znów, no wiesz co?” — W pewnych okolicznościach był to najdelikatniejszy z ludzi.

Pytanie wprawilo mnie w kłopot. Wiedziałam wiele rzeczy. Potrafiłam odpowiedzieć na wiele pytań. Byłam przekonana, że mogłabym zwyciężyć w którymś z tych quizów, gdzie się wygrywa dużo pieniędzy. Gdyby Ole Pa spytał mnie: „Sleenie, co to jest Dhole?” Proście! Mogłam odpowiedzieć bez namysłu: „Dhole to dziłki pies znaleziony w Indiach”. Potrafiłabym odpowiedzieć niemal na miliony pytań. Ale nie znajdowałam odpowiedzi na to jedno, które mi zadał.

— Wcale nie brałam tego pod uwagę — powiedziałam wolno.

— Tak — odparł. — Przypuszczam, że nie.

Czekał, jak gdybym miała wpaść na jakieś nadzwyczajne rozwiązanie.

— I co wymyśliłaś? — spytał wreszcie.

— Nic. Po prostu nie potrzebuję.

— To ładna rzecz — powiedział.

— Nie zaprzataj sobie tym głowy. Akurat mi się nie chce.

— Muszę już się zbierać. Sleenie, siedź akuratnie na tym samym miejscu. Nie wolno ci się ruszyć ani na krok. Słyszysz?

— Słyszę — odpowiedziałam. — Będę tutaj. Tak jak teraz. Obiecuję. I...

— Co?

— Dziękuję.

Nie odpowiadał.

— Dziadku? Dziękuję ci... że byłeś dla mnie tak miły. Mam nadzieję, że się nie spóźnisz do pracy. Będę siedziała, tak jak w tej chwili. Przrzekam. Ale, czy moja twarz, tak na serio, jest aż tak paskudna, jak mówiła Rose-ann?

W dalszym ciągu nie odpowiadał.

— Dziadku?!

Pojęłam, że odszedł. Zostałam sama — przerażona, śmiertelnie przerażona.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Oparłam się znowu o pień drzewa. Posiedzę sobie tak chwilę.

Słyszałam miliony dźwięków, których dotąd nie znałam; czarowne, niepokojące dźwięki. Najmilszym jednak dla mnie dźwiękiem był odgłos spadającego liścia — spadł mi na głowę — pac!

Dotknęłam ręką, chcąc sprawdzić, co to takiego, bo nie wiedziałam, że to liść. Dobry liścieczku, spadłeś z gałązki już teraz, nie czekałeś jesieni! Spadłeś tylko po to, żeby mnie uszczęśliwić!

Gładziłam nierówną główną żyłkę liścia — mojego pierwszego liścia.

Lięczyłam nierówne boczne żyłki. Było ich jedenaście większych i jedna mała, niewyrośnięta.

Srodkowa przypominała wielką rzekę, z rozchodzącymi się od niej małymi rzeczkami. Od spodu była wypukła, niczym grzbiet rybi.

Dowiedziałam się potem, że mój liść spadł z dębu. Kochałabym go bez względu na to, skąd pochodzi.

Tego poranka w parku wszystkie ptaki śpiewały jak szalone.

Śfiksowany chłodny wiaterek tańcząc wśród traw niósł nieznany mi najrozkoszniejszy zapach.

Wprost niepodobna było spokojnie usiedzieć. Chciało mi się skakać, zrzucić buciki. Wspiąłem się na sam wierzchołek mojego drzewa. Tarzać się w trawie. Zrywać kwiaty, które wiedziałam, że muszą rosnąć gdzieś niedaleko. Ale Rose-ann zawsze powiadała: „Nie ma co plakać nad rozlanym mlekiem! Jesteś ślepa, Sleenie, i nie tu płacz nie pomoże”.

Dlatego siedziałam, jak mi przykazał dziadek, ale nikt nawet nie domyślał się, że moje serce i myśli tańczy jak szalone.

Wiedziałam, że powinnam nawlekać koraliki. Ale czy mogłam?

Dlatego też po prostu tylko sobie siedziałam.

Ocknęłam się, gdy usłyszałam bicie zegara wydzwanającego godzinę jedenastą. Nie mogłam uwierzyć, że jestem już w parku od przeszło dwóch godzin!

Nawlokłam igłę. W domu zawsze nawlekałam, nie zdając sobie nawet sprawy, że to robię. Tutaj w parku było całkiem inaczej. Tyle różnych rzeczy odwracało moją uwagę od czynności rąk.

Tym razem coś innego, nie liść, spadło z drzewa z tyłu na koltnierzyk bluzki. Czulałam, jak pełźnie w dół. Strasznie! Spróbowałam dosięgnąć tego czegoś ręką i przewróciłam pudełko.

(Dalszy ciąg nastąpi)

ŁÓDŹ 2000 AGLOMERACJA

ŁÓDŹ jak lekarstwa potrzebuje planu rozwojowego, który równocześnie rozprawiałby się z zaniedbaniami przeszłości i tworzył podwaliny miasta nowoczesnego, dorównującego podobnym organizmom miejskim w krajach wysoko-uprzemysłowionych. W ubiegłym roku zatwierdzony został wprawdzie perspektywiczny plan zagospodarowania przestrzennego do 1990 r., ale dysponuje on jedynie terenami leżącymi w obrębie obecnych granic miasta.

Tymczasem zgodnie ze współczesną myślą urbanistyczną trudno myśleć o przyszłości Łodzi bez uwzględnienia jej szerszego zaplecza, w którego oparciu następować będzie dalszy jej rozwój. Wiadomo już dziś, że miasta nie da się utrzymać w dzisiejszych ramach administracyjnych. Dlatego w BIURZE PROGRAMOWANIA I PROJEKTOWANIA ROZWOJU ŁODZI trwają prace nad założeniami planu dla terenu tzw. ŁÓDZKIEJ AGLOMERACJI MIEJSKIEJ.

OPISANIE AGLOMERACJI

Agglomeracja ta, którą dalej nazywać będziemy skrótowo ŁAM, obejmuje obszar o promieniu ca 30 km, licząc od centrum miasta. Daje to powierzchnię ok. 3.000 km kw., zamieszkiwaną obecnie przez 1.200 tys. ludzi, przy czym średnie zagęszczenie wynosi ok. 400 osób na 1 km kw. W skład ŁAM wchodzi zarówno tereny o stosunkowo niskim poziomie zaludnienia, jak i obszary węzłowe, miejskie, gdzie średnie zagęszczenie przekracza 2.500 osób na 1 km kw.

Ogółem ŁAM stanowi ok. 20 proc. powierzchni województwa łódzkiego. Łącznie z Łodzią, Pabianicami i Zgierzem mieści w swym obrębie 12 miast, a oprócz tego 27 gmin, tj. cały powiat łódzki i części powiatów brzezińskiego, łaskiego i łęczyckiego.

Obszar ŁAM zamieszkuje nieco powyżej 50 proc. ludności województwa, o czym przesądza przede wszystkim

Łódź, a zwłaszcza jej śródmieście. Ona to głównie i duże miasta typu Pabianice czy Zgierz powodują, że średnia gęstość zaludnienia na terenie ŁAM jest 2 i pół raza wyższa niż w pozostałych 80 proc. województwa. W obecnych granicach administracyjnych Łodzi mieszka 60 proc. ogółu ludności ŁAM.

Nakreślony powyżej układ przestrzenny cierpi na cały szereg niedomagań. Bez pokonywania ich nie może być mowy o prawidłowym rozwoju.

Przede wszystkim duże miasta na terenie ŁAM nie mają odpowiednio rozbudowanych i wyposażonych terenów obrzeżnych. Miasto przechodzi bezpośrednio w bezładną zabudowę ni to miejską ni to wiejską.

Urządzenia komunalne poza Łodzią są fragmentaryczne. W małych miastach brak wodociągów i kanalizacji, a oczyszczalni ścieków i odpowiednich zyspisk na śmieci nie ma nawet i Łódź. Nawierzchnie dróg i ulic pozostawiają wiele do życzenia. Brak dostatecznej ilości pla-

cówek handlowych i usługowych, jak również terenów i obiektów służących wypoczynkowi.

Mankamenty komunikacji, to przede wszystkim brak linii średnicowej Łódź Kaliska — Łódź Fabryczna. Zbudowanie jej usprawniłoby szczególnie kolejowy ruch podmiejski, który obecnie mocno kuleje. Przeszczalne i bardzo powolne są tramwaje podmiejskie.

SZCZĘŚLIWE POŁOŻENIE

Projektanci pracujący nad planem rozwojowym ŁAM opierają się na szczególnie fortunnym położeniu obszaru w stosunku do reszty kraju. Centralne usytuowanie powoduje, że dla systemu komunikacyjnego Polski ŁAM ma znaczenie węzłowe. Tu krzyżują się dwie główne linie kolejowe o znaczeniu międzynarodowym. Przez teren ŁAM przechodzi dział wodny między dorzecziami Odry i Wisły, a ich główne dopływy o dużej retencji wody — Warta i Pilica — odległe są od Łodzi o 40 i 50 km. Tu znajduje się też główna w kraju koncentracja przemysłu lekkiego, stwarzająca szansę rozwiązania najpilniejszych problemów ŁAM. Dokonać tego należy w imię usprawnienia systemu komunikacji ogólnokrajowej i innych interesów państwa jako całości. Łódzcy planiści dążą do kojarzenia interesów regionu z interesem szerszym, ogólnonarodowym.

Opracowywany plan wychodzi z założenia, że istnieje możliwość wzrostu zaludnienia ŁAM do liczby rzędu półtora miliona osób. Znajdujący się w końcowej fazie budowy zbiornik retencyjny na Pilicy i rurociąg tłoczący Sulejów — Łódź, zagwarantuje zapotrzebowania na wodę Z owego półtora miliona — 900 tys. osób będzie według przewidywań już w 1990 roku zamieszkiwać samą Łódź. (Warto tu nadmienić, że ponad 90 proc. tej liczby, to jest 825 tys. osób będzie już wtedy mieszkało w nowo zbudowanych domach).

JAK BĘDZIE?

Jak wyglądać ma ŁAM zgodnie z wizją łódzkich planistów? Rdzeń tworzyć będzie Łódź wraz z miastami

przylegającymi. Od niego rozchodzić się będą trzy pasma gęstej zabudowy, skupione wokół osi, jaką stanowią zelektryfikowane linie kolejowe:

- 1) pasmo wschodnie wzdłuż linii Łódź — Koluszki,
- 2) pasmo zachodnie wzdłuż linii Łódź — Zduńska Wola,
- 3) pasmo północne wzdłuż linii Łódź — Ozorków.

Koncentrując w pasmach budownictwo przemysłowe i mieszkaniowe typu miejskiego, zahamuje się jednocześnie procesy dewastacyjne na obszarach położonych między pasmami. Tam zachowane będą tereny pod intensywną gospodarkę rolniczą, w dużej części ogrodniczą.

Węzły kolejowe Koluszki i Zduńska Wola, a później Łęczyca i Sieradz spełniać będą ważną rolę nie tylko jako krańcowe koncentracje ŁAM, ale włączając będą jednocześnie jej sieć kolejową w krajowy system magistral.

W ten sposób planowanie rozwoju ŁAM staje się integralną częścią składową perspektywy rozwojowych całego kraju. Oznacza to, że wchodzimy w erę, w której zaczynają działać prawa ekonomiczne współczesnego świata, polegające na funkcjonowaniu skomplikowanego układu powiązań i współzależności.

Tak np. duże znaczenie dla ŁAM będzie miała realizacja inwestycji centralnej — budowa kanału Wisła — Wisła. Pasma zachodnie ŁAM skorzysta na realizacji inwestycji obliczonej głównie dla potrzeb Wielkopolski, a mianowicie zbiornika re-

tencyjnego Jezioro na Warcie.

Już dziś zarysowuje się szansa wzrostu ludności ŁAM po roku 2000 do 2 milionów.

AUTOSTRADY, LOTNISKO, METRO

Korzystny w zasadzie system powiązań z planami krajowymi utrudnia jednak precyzyjne prognozowanie, jakie inwestycje dotyczące Łodzi i aglomeracji w jakim okresie zostaną zrealizowane.

Zakłada się, że do 2000 r. powstanie na terenie ŁAM układ autostradowy. Mają tędy przebiegać autostrady: Warszawa — Łódź — Katowice, Łódź — Toruń — Gdańsk i Łódź — Poznań. Najwcześniej doczeka się realizacji pierwsza z nich. Do 1980 r. ma być gotowy jej wlot od strony Warszawy i wylot na Katowice. Przez teren miasta od wlotu do wylotu zbudowana zostanie tranzytowa trasa ekspresowa.

Resort komunikacji przewiduje na terenie ŁAM poważne inwestycje kolejowe. Do 1975 r. zmodernizowana i zelektryfikowana ma być linia kolejowa Łódź — Kutno. Do 1980 r. dokona się zamknięcia od północy obwodnicy łódzkiej, co przyczyni się do usprawnienia ruchu podmiejskiego. Zabezpiecza się

już tereny pod budowę linii średnicowej przebiegającej pod śródmieściem. Realizację przewiduje się na lata 1985—90.

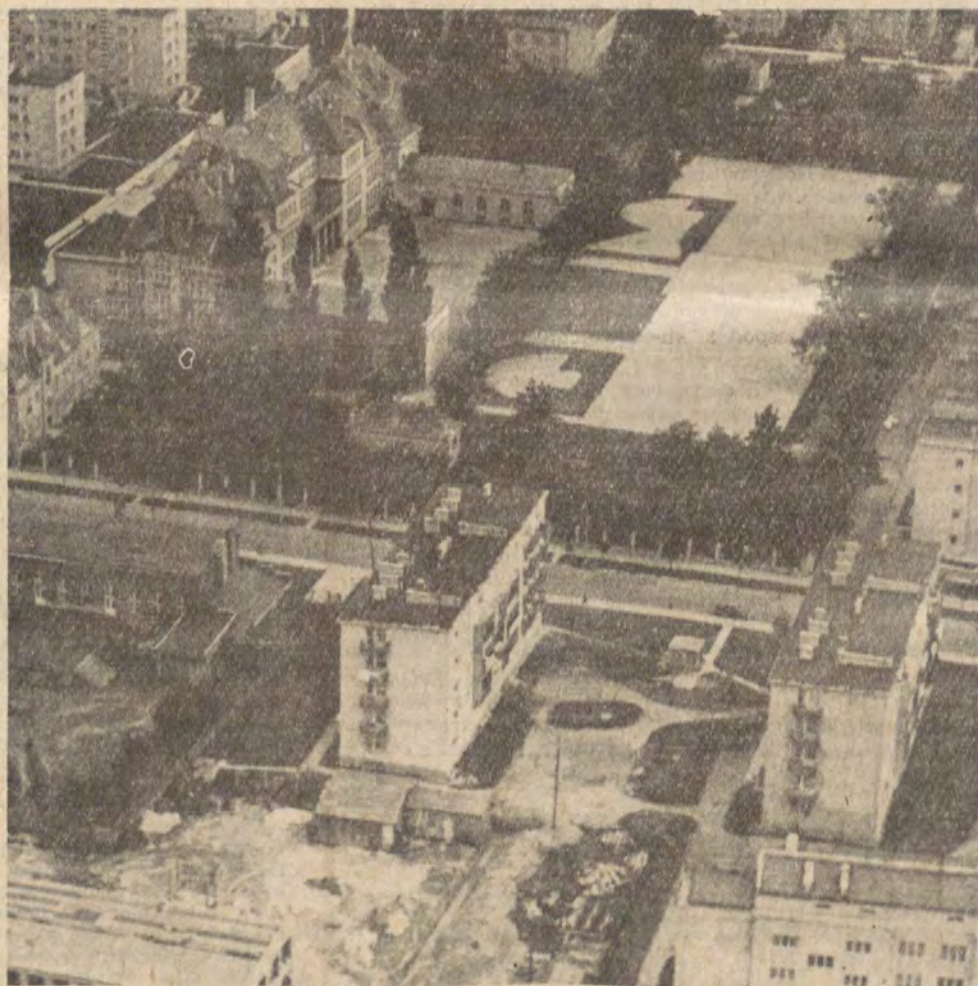
Linia średnicowa nie jest jednak przewidziana jako element komunikacji miejskiej. Tę funkcję przyjmie na siebie metro, czyli tzw. szybka kolej miejska (SKM). Pierwsza jej linia łączyć będzie Balucki Rynek z placem Niepodległości (ok. 5 km). Realizację jej należy — zachowując całą ostrożność — odnieść do lat dziewięćdziesiątych. W przyszłości SKM docierać ma aż do Aleksandrowa.

Z Aleksandrowem lub z Lipinami koło Brzeźn łączą się projekty lokalizacji łódzkiego lotniska pasażerskiego. Władze miasta postulują, by powstało ono jak najprędzej, a w każdym razie do 1975 r. Łódź jest jedynym miastem wojewódzkim nie włączonym do lotnicznej komunikacji krajowej. To niczym nie uzasadnione upośledzenie naszego miasta musi ulec likwidacji.

Wracając do planowanego rozwoju ŁAM, wspomnieć należy, że zakłada się na jego terenie budowę kilku oczyszczalni ścieków, gazociągu wysokoprężnego dla całego obszaru oraz szeregu elektrociepłowni.

Program ogromny. W wiek XXI powinna wkrócić już całkiem inna Łódź.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



Fot. K. Turowski

Dyżur

Dalszy ciąg ze str. 1

wiezie męża do domu i wystawi świadectwo zgonu.

Kobieta rzuciła się do lekarza z Pogotowia:

— Niech pan tak zrobi! Inaczej pasierb mnie zatłucze! — klęczała, trzymając go za rękę.

Lekarz z Pogotowia nie zorientował się jeszcze, że umożliwił mu wyjście z opresji. Nadal stał niezdecydowany. Kobieta źle to zrozumiała.

— Ja zapłacę! — zawołała.

Sanitariusz z kierowcą, stare wygi, dawno już zrozumieli w czym rzecz, poderwali nosze z podłogi i rzucili się do drzwi. Sanitariusz prawie wesoło powiedział przez ramię:

— Jak się da, to się zrobi!

Kobieta zrozumiała, że jej miejsce jest przy mężu, bo pobiegła za noszami. Kolega z Pogotowia popatrzył na nią i powiedział cichym głosem:

— Dziękuję.

Nie zdążyłem jeszcze wyjść z izby przyjęć, kiedy drzwi otworzyły się z impetem. Kobieta i chłopiec

wprowadzili mężczyznę. Był zupełnie zamroczony. Ułożyliśmy go na kozetce. Wystarczyło pobieżne badanie, aby się zorientować, że to zatrucie. Ale czym? Pochyliłem się nad nieprzytomnym, zaleciała wódka. Popatrzyłem ostro na kobietę.

— Mąż pił z kolegą w domu, kiedy ja byłam w pracy. Jak im zabrakło wódki, to zaczęli myszkować po domu. Miałam w kuchennej szafce „tri” w butelce po wódce. Oni to wypili!

— Tri? He tego było?

— Przeszło ćwiartka. Wszystkiego nie wypili. Dużo im zostało w szklankach.

— Czy pani nie wie, jak się nazywa kolega, który pił z mężem?

— Nie wiem. Nie było mnie w domu.

— Chcę pani zostać przy mężu? Nie wiadomo, co z nim będzie.

— Nie! Nie zostanę! Jestem bardzo zmęczona. On nigdy o mnie nie dbał. Przez wódkę zrobił się dla mnie obcy.

Po dwóch godzinach zastruty zmarł. Głowiliśmy się jednak, jak tu wykręcić tego drugiego. Dzwoniłszy do milicji, ale i oni nie byli w stanie wiele nam pomóc. Posłaliśmy trochę odpocząć. Nie trwało to długo, gdy znów zadzwonił telefon.

— Mamy dzisiaj urodzaj. Znowu jakiś pijany!

W izbie przyjęć czekał mężczyzna w średnim wieku, który stał z lekką chwiejącą się z rękoma w kieszeniach, z papierosem przyklepionym do wargi, patrząc na nas zaczepnie.

— Chciałem dowiedzieć się, czy do tego szpitala przywieziono jednego, co napil się tri?

— Tak.

— To tak z nim źle?

— A pan kim jest?

— Ja? Kolega. Jak on się czuje?

— Informacji udzielamy tylko najbliższej rodzinie.

— Nie chce mi pan powiedzieć! Mnie! Jego przyjacieli! Ja pana przez milicję zmuszę!

Nagle coś mi zaświtało.

— A skąd pan wie, że on pił tri?

— Bo razem obiewaliśmy jego urodziny!

— Jest pan cholernym szczęściarzem! My tu już parę godzin pana szukamy. Dużo pan wypił tego tri?

— Z pół szklanki, może mniej! Ale zaraz zwrócitem!

— Siostrzo! Kładziemy pana do łóżka!

— Wolnego! Ja wcale nie mam zamiaru iść do szpitala. Ja nie mam słabej głowy.

— Tri jest bardzo silną trucizną. Grozi panu śmierć w ciągu paru godzin!

— Nie umrę! Jak Franek nie umarł to i ja nie umrę!

— Chodź pan!

Wziąłem go za rękę i zataczającego się wyprowadziłem z izby przyjęć w ślepy koniec korytarza, gdzie z braku odpowiedniego pomieszczenia trzymaliśmy od rana zwłoki zmarłych w nocy. Uniosłem prześcieradło na szpitalnym wózku.

— Rany boskie! Franek!

— krzyknął i fajtnął na podłogę.

Było już nad ranem. Siostra Maria znowu ściągnęła mnie na dół. Czekała tam kobieta w wieku około czterdziestu lat, chuda, nieładna.

— Panie doktorze — powiedziała. — Przepraszam, że niepokoję, ale przeżyłam silny wstrząs, proszę mi pomóc!

Nie pytałem, jaki wstrząs

2. DAR WIERNYCH USTASZÓW...

Ustasze pozostali wierni swojej zbrodniczej dewizie. Zabijali, grabili, dokonywali aktów dywersji, trudnili się wymuszaniem. Przez pewien czas prowadzili aktywną działalność w NRF, aż wreszcie zachodniemiecka policja musiała przeprowadzić gruntowną „czystkę” w szeregach faszystowskiej emigracji chorwackiej. Terrorysty rozproszyli się po całym świecie, trafili do Australii, Kanady, Hiszpanii, Szwecji.

— Na razie nikogo nie zabijamy! Ale wkrótce komuś spadnie głowa — wykrzykiwał 26-letni ustasz, Blago Mikulic, kiedy szwedzcy policjanci nakładali mu kajdanki. W przeddzień, wraz ze swym kompanem, Ivanem Vujcziwiczem, dokonał napadu na konsulat jugosłowiański w Göteborgu. Sąd szwedzki skazał bandytów na trzy i pół roku więzienia. Ale w tym samym czasie ich przyjaciele z „Klubu Chorwackiego” w Göteborgu przygotowywali już następne przestępstwo — zabójstwo ambasadora Jugosławii w Szwecji, Władimira Rolowicza. Jak wiadomo, członkowie bandy ustaszów: Miro Bareszic i Andzelko Brajkovicz, dokonali zabójstwa ambasadora dnia 7 kwietnia 1971 roku. W związku z tym aresztowano jeszcze trzech bandytów. Jeden z nich, Ante Stojanov, wyznał podczas

BANDY I ICH PRZYWÓDCY

Dziś „ustasze” — to ogólna nazwa ekstremistycznego chorwackiego ruchu nacjonalistycznego, który reprezentuje wiele organizacji. Oto rejestr czołowych ustaszowskich grup i ich rozlokowanie:

„Chorwacki ruch wyzwoleniowy” — liczy około dwóch tysięcy aktywnych członków, rozrzuconych po całym świecie. Jest ekstremistyczną paramilitarną organizacją, która przeprowadza akcje dywersyjne i terrorystyczne. Początkowo kierował nią z Argentyny Ante Pavelic. W 1959 roku Pavelic zmarł w madryckim szpitalu wojskowym i kierownictwo organizacji przeszło w ręce niejakiego Stjepana Chefera. „Rewolucyjny chorwacki ruch wyzwoleniowy” — powstał w 1966 roku. Szefem tej bandy jest przestępca

organizacji ustaszów w Europie — bardzo wpływową organizacją w ruchu ustaszowskim, kierowaną przez Andrija Ilieva, byłego ministra w faszystowskim rządzie Pavelicza. Obecnie przebywa w Anglii.

To właśnie grupa „Chorwackiego ruchu wyzwoleniowego” dokonała we wrześniu ub. roku porwania samolotu szwedzkiej linii lotniczych SAS i wymogła uwolnienie z więzienia siedmiu aresztowanych ustaszów, którzy zamordowali ambasadora Jugosławii w Szwecji. Wydarzenie to było tak głośne, że nie wymaga przypomnienia.

W czerwcu 1972 roku jugosłowiańska agencja informacyjna TANJUNG podała do wiadomości, że w zachodnich rejonach Jugosławii trwają poszukiwania 19-osobowej grupy ustaszów, która przeniknęła z Austrii. Banda była zaopatrzona w najnowocześniejszy sprzęt dywersyjno-szpiegowski: karabiny z optycznymi celownikami, pistolety z tłumikami, radiowe stacje nadawczo-odbiorcze i materiały wybuchowe. W toku operacji, zmierzających do ujęcia tej grupy, piętnastu dywersantów zostało zabitych, czterech pochwycono. Sąd w Sarajewie skazał ich na śmierć.

Trzydzieści dwa kilometry od Walencji znajduje się niewielkie miasto Carcachente. Dwa dziennikarze szwedzcy: B. Alkwist i Swen-Erik Johansson, foto-

wiadał. W jednym z barów wpadliśmy w samą paszczę lwa. Był to bar „Silvano” na peryferii miasta, sąsiadującej z dworcem kolejowym.

Nie wiedzieliśmy, że jest to ulubiony lokal Chorwatów, zamieszkałych w Carcachente. Tutaj zbierają się co wieczór, żeby popić wino, pograć w karty, porozmawiać. Przyjeżdżają nas wrogi spojrzeń i doinki. Wynieśliśmy się co prędzej. Carcachente opuściliśmy jednak dopiero po północy. Ale teraz wiedzieliśmy już, gdzie znajduje się obóz ustaszów. Mężczyzna, który wskazał go na naszej mapie samochodowej, był śmiertelnie przerażony. Ale w Hiszpanii dwa tysiące pesetów ma swoją wymowę... To duże pieniądze.

OBOZ W CARCACHENTE

Obóz znajduje się, mniej więcej, dwadzieścia kilometrów na południe od Carcachente, najbliższa miejscowość od obozu nosi nazwę Benihanim.

Naliczyłem pięć wież strażniczych, dwunasto- lub piętnastometrowej wysokości. Na każdej otwory strzelnicze. Wokół obozu potężny mur. Uważnie patrząc przez lornetkę, dostrzegłem wartownika z karabinem, w wojskowym kombinie ochronnego koloru.

Ostrzegano nas, żeby do obozu nie podchodzić zbyt blisko. Mimo to, ryzykując, przekradliśmy się pod sam mur. Nagle wartownik odwrócił się i machnął ręką. Uszyliśmy się ujadając psami i w chwili późniejszej ukazał się inny mężczyzna w kombinie, prowadząc na smyczy dwa ogromne psy...

To wystarczyło. W kilka minut dopadliśmy samochodu, zostawiając za sobą gęstą chmurę czerwonego pyłu... Powróciliśmy do Walencji.

Po obiedzie po raz drugi odwiedziłem się z szefem policji w Walencji — Carlosem Gollado. Powiedziałem mu, że widzieliśmy obóz, pomijając fakt, żeśmy go sfotografowali, ponieważ w Hiszpanii nie wolno tego robić.

Odczułem, że nacelnik policji ma już trochę dość ciekawskich Szwedów. Ale pozwolił nam usiąść. Potem powiedział:

— Oczywiście wiemy o obozie szkoleniowym. Ale, widząc, panowie, oni trzymają się w odosobnieniu i nasze władze wojskowe poprzestają tylko na dowryczych inspekcjach.

— A zatem obce państwo może mieć w Hiszpanii własne obozy wojskowe?

— Ależ w tym wypadku nie chodzi o obce państwo. Przecież to są imigranci. Teraz aktywność tego obozu jest bardzo mała, nie ma w nim więcej, niż stu pięćdziesięciu ludzi.

— A bywało więcej?

— Niekiedy o wiele więcej. Nie mogę panu podać dokładnej liczby, ale, ówczesne, bywało tam i po kilka tysięcy ludzi.

— Czy wiadomo panu, co oni tam robią?

— Uprawiają sport, gimnastykują się, no i robią tam coś jeszcze...

Podczas badania zbrodni, dokonanych przez ustaszów w Europie, stwierdzono, iż przestępstwa szkolono w tym właśnie obozie.

— Ustasze — to coś, co trudno zrozumieć...

— Czy chorwacy ekstremiści będą nadal przygotowywać dywersantów w obozie pod Benihanim?

— O, to niezwykle skomplikowany problem...

Z tym, niestety, trzeba się zgodzić, ale nazwisko Stjepana Czernecko mówi samo za siebie. Wraz z dwoma innymi ekstremistami, Zelko Bebekiem i Marianem Rudecem, stanowią trójkę, która obecnie kieruje działalnością ustaszów w Zachodniej Europie. Wszyscy trzej mieszkają w okolicach Carcachente.

Oprac. J. CZECH

Kto zabił Szwarca?



Wiele rzeczy ROMANOWI GORZELSKIEMU wybaczyć tzw. środowisko, ale jedno jest pewne — „Lezternu” mu nie wybaczą. Ostatecznie jeszcze można przytknąć oczy na współdziałal w aferze dwu pozostałych autorów. PIOTR HERTEL pisał muzykę do wielu piosenek i komedii muzycznych — FERIDUN EROL reżyserował parę filmów (za „Kirka Douglasa” zdobył nawet nagrodę w Amsterdamie) — ich współdziałal w sukcesie tak nie boli, nie dotyka do żywego...

— Ale Gorzelski? Poeta, autor tomu wierszy i raptem rewia, komedia muzyczna, musical? Wywiady, oklaski, publiczność i — o zgrozo! — taniemy?

A tu jeszcze w „Głosie Robotniczym” list Czytelników: „Drogi Głosie. Pragniemy za Twoim pośrednictwem zapytać dyrektora Teatru im. Jaracza, czy uwzględniła naszą prośbę, dotyczącą wystawienia sztuki pt. „Leztern” w miesiącu sierpniu br? Jeśli tak — to prosimy o podanie terminu i serdecznie dziękujemy. Ze swej strony przyrzekamy gorąco oklaskiwać ten wspaniały zespół aktorów.”

Takich rzeczy się nie wybacza.

Naprawdę nie wiem, czy „Leztern” wejdzie do historii teatru, wiem natomiast, że „kupita” go publiczność. Gorzelski (uznając pełnię zasług dwu pozostałych współtwórców) odniósł tu absolutny sukces. Sukces przedwzrostowy, bowiem z jednej strony „Leztern” spotkał się z aplauzem widzów, z drugiej zaś strony — powitany został ironicznym grymasem środowiska. Moim zdaniem rzecz nie sprowadza się tylko do typowo polskiej bezinteresownej zawiści. Jest w tym lekkceważeniu coś więcej.

Pisarstwo traktuje się u nas nadal z całą naiwnością jak postannictwo, powołanie... Pisarstwo traktowane po prostu jak zawód, jak służba obywatela — bywa często lekceważone. Środowiska narzekają na amatorszczyznę i niski poziom wszelkiego rodzaju utworów paraliterackich (libretto, piosenka, dziennikarstwo), ale bardzo niechętnie próbują owe tereny zdobywać. Każdy, kto w owe rejony wchodzi ze swoim pisarstwem, otrzymuje lekceważące etykiety.

Błędne koło. Poeta „skończył się”, bo napisał musical. Musicale są szmirą, bo nie piszą ich poeci. I bądź tu mądry!

Sukces kasowy „Lezternu” stał się więc sprawą wstydliwą. Więcej było na jego temat uszczypliwych notatek, niż rzetelnych recenzji. Musical utrzymuje się na scenie od listopada 1970 roku, wciąż ma pełną widownię. I wciąż jego popularność jest sprawą wstydliwą.

Dlaczego? Nie rozumiem. Dokonałem ryzykownego dla „Lezternu” zabiegu. Od pierwszego do ostatniej strony po prostu przeczytałem tekst musicalu. Zrozumiałe jest dla każdego, że tekst przeznaczony do śpiewania traci, gdy się go traktuje jak „czysty” wiersz. Zrozumiałe jest dla każdego, że tekst będący propozycją rozwiązania reżyserskich trudów, gdy się go czyta jak „czystą” prozę. Przeczytałem jednak „Leztern”, żeby w jego warstwie literackiej znaleźć źródła kasowego sukcesu.

Myszę, że znalazłem. Gorzelski po prostu zastosował chwyt stary jak musical. Odwołał się do publiczności — jej poczucia humoru, jej problemów, gustów... „Lez-

tern” w swej warstwie literackiej jest przedziwną mozaiką pastiszu, parodii, liryki, sensacji... W tej konwencji pastiszu utrzymana jest także cała warstwa muzyczna „Lezternu”. Tak zwany humor ulicy, echa dowcipów opowiadanych sobie w tramwaju i w biurze, znane nam dobrze slogany, podane z przymrużeniem oka — to wszystko przyprawione chwytną muzyką Hertla zrodziło sukces „Lezternu”.

Gorzelski zresztą zastosował w scenariuszu swego musicalu typ humoru słowno-sytuacyjnego. Jest to barzo swoista forma dowcipu, według dr Danuty Battler charakterystyczną się „przypisaniem wypowiedzi osobie, która ze względu na wiek lub przynależność społeczną, nie mogłaby jej w ten sposób sformułować”. („Polski dowcip językowy”, str. 60). Oto w barze „Niebo” w atmosferze nieobowiązującej i rozluźnionej Wielki Barman mówi: „Kto przeciw? Nie widzę. Kto za? Wszyscy...” Bardzo znany tekst — ci ludzie, którzy przyjmują go śmiechem na wieczornym spektaklu, nie śmieją się, gdy słyszą takie słowa przed południem. Kto wie? Może właśnie dlatego śmieją się wieczorem?

I takich „wcięć z echa-pek” jest w tekście Gorzelskiego co niemiara. Budując swój bajkowy, „lezternowy” świat sceniczny, zapelniał go słowami i sprawami z ulicy, z biura, z ogonka w supermarcie. Myślę, że to właśnie są źródła sukcesu „Lezternu”. Mozaikowa i kolażowa konstrukcja literacka scenariusza zrealizowana jest konsekwentnie — z literackim i dramaturgicznym nerwem. I to jest w końcu najważniejsze w tym gatunku pisarstwa. Wszelkie wyszukiwanie mielisz i banałów w piosenkach, czym trudnią się autorzy kpiących notatek, nie ma większego sensu, bowiem poeta/ka musicalu na banał jest skazana. Nie banał jest jej ziem największym, tylko nieumiejętność sprawnego nim operowania.

Wszelkie wyszukiwanie mielisz i banałów w piosenkach, czym trudnią się autorzy kpiących notatek, nie ma większego sensu, bowiem poeta/ka musicalu na banał jest skazana. Nie banał jest jej ziem największym, tylko nieumiejętność sprawnego nim operowania. Wszelkie wyszukiwanie mielisz i banałów w piosenkach, czym trudnią się autorzy kpiących notatek, nie ma większego sensu, bowiem poeta/ka musicalu na banał jest skazana. Nie banał jest jej ziem największym, tylko nieumiejętność sprawnego nim operowania.

JERZY WILMAŃSKI

„Leztern”. Tekst: Roman Gorzelski i Feridun Erol. Reżyseria: Feridun Erol i Piotr Hertel. Scenografia: Jerzy Groszang. Choreografia: Barbara Fijewska. Teatr 7.15. Prapremiera 4 listopada 1970 r.

NA TROPIE

śledztwa, że wespół z kilkoma innymi ustaszami stworzył organizację pod nazwą „Czarny legion”. Jego członkowie postawili sobie za cel sędzenie i mordowanie osób, interesujących się działalnością chorwackich ekstremistów w Szwecji. Podczas rewizji w mieszkaniu Stojanowa znaleziono blankiety, na których powiadamiano kandydatów o przyjęciu do terrorystycznej organizacji „Drina” oraz kilka numerów pisma „Obrona”.

„Czarny legion” nie jest nową nazwą. Nosila ją już grupa ustaszowskich terrorystów, którą kierował Ante Pavelic. „Drina” także istniała podczas rządów nazistów chorwackich, której przewodził kat obozów koncentracyjnych Wikosław Ljuburic. Pismo „Obrona”, wydawane obecnie przez ustaszowską emigrację, jest organem „Driny”.

wojenny, Wikosław Vraniczic — b. minister w rządzie Pavelicza. Organizacja ściśle terrorystyczna. Punkty rozlokowania: Stany Zjednoczone, Australia i Hiszpania.

„Chorwacki Komitet Narodowy” lub „Przyjaciele Driny”. Organizacja terrorystyczna, zorganizowana przez Wikoslava Ljuburicza. Utrzymuje ściśle kontakty z licznymi organizacjami o orientacji faszystowskiej.

„Chorwackie stowarzyszenie rewolucyjne” — grupa, której liczbą członków szybko wzrasta. Założona w Australii w 1961 roku przez przestępcę wojennego, Srećko Rovera.

„Tajna organizacja rewolucyjna ustaszów-komandosów”. Cel: dywersja i akty terroru. Rozporządza obozami, w których szkoli się dywersantów i szpiegów. Utworzona w 1962 roku w NRF. „Komitet współpracy or-

reporter, przybyli tutaj ze specjalną misją: odnaleźć w Hiszpanii zakonspirowany obóz ustaszów, w którym szkolą się chorwacy dywersanci. A oto relacja Alkwista:

„Cały dzień poszukiwań w Walencji zakończył się fiaskiem. Ludzie niewiele o tym wiedzieli, a po wtore nie kwapił się do szerszych rozmów na ten temat. Nawet nacelnik tutejszej policji „nie orientował się w tej sprawie”. W każdym razie nie powiedział.

Wreszcie bardzo niewyraźny ślad zawiódł nas do Carcachente, gdzie próbowaliśmy poizolować za język miejscowego urzędnika komory celnej:

— Chee pan powiedzieć, że nie panu nie wiadomo o takim obozie w tym rejonie?

— Tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, żeby pan sam próbował go odnaleźć...

W Carcachente są dwa nocne lokale, a bary i kawiarnie — prawie na każdej ulicy, jeden obok drugiego. Interesująca nas informacja mogłaby więc zdobyć tylko tam.

Obchód barów i kawiarni zajął nam blisko cztery godziny. Pytaliśmy, ale nikt nie odpo-

przeżyła. Widać było, że jeszcze chwila, a rozplacze się. Mając już doświadczenie w takich sprawach, wiedziałem, że sama powie. Kończyłem robić zastrzyk, gdy odezwała się.

— Wróciłam niespodziewanie dziś w nocy do domu, od rodziny z Poznania i zastałam męża z inną kobietą w łóżku — nie wytrzymałam i rozplakałam się.

— No cóż, zdarza się — powiedziałem w końcu, gdyż wypadło coś powiedzieć — ale niech pani szanuje swoje nerwy i uspokoi się.

— Już bym nie nie powiedziała — szlochala — żeby mnie zdradził z kimś na poziomie, ale ta kobieta, taka brzydka i taka brudna, taka brudna! Niech pan zobaczy, zabrałam jej legitymację.

Rzeczywiście na fotografii widać było coś bardzo niepokojącego. W każdym razie

na pewno była to kobieta znacznie brzydsza od tej, która siedziała przede mną.

— Macie państwo dzieci?

— Nie!

— No to, proszę pani, nie trzeba się denerwować, proszę teraz pójść gdzieś do rodziny, czy znajomych, przespaać się, a później pani postanowi, co zrobić. Kocha go pani?

— Nie!

Urażona ambicją — pomyślałem — i wyszedłem z izby przyjęć zamknawszy drzwi może nieco głośniejsz niż zamierzałem, ale zrozbiło mi się jej żal, otworzyło więc ponownie i powiedziałem:

— Przepraszam!

BOGUSŁAW GOŁĄB

POWIĘKSZENIA

JĘZYK MIŁOŚCI

„Dziennik Łódzki” (nr 115) zaprezentował nam zdjęcie pięknej dziewczyny, która w tytule publikacji oświadcza: „Moja miłość — języki obce” Ot, ciekawostka.

JAKA MA BYĆ KOMEDIA?

„Zarzut największy to ten, że komedia obecnie nam pokazywane absolutnie nie zmuszają do refleksji, że brak w nich idei nadrzędnej” — napisała w „Głosie Robotniczym” Małgorzata Karbowiak. Może to i prawda, ale... Czy nie byłoby prościej, aby komedie po prostu zmuszały do śmiechu?

KOMUNIKAT

Prasa informuje, że z dniem 1 kwietnia Biuro Współpracy z Konsumentem „Opinia” zmieniło nazwę na: Agencja Reklamowa „REKLAMA”.

Nareszcie odetchnęliśmy. Pracownicy Biura zresztą też. Jak wiadomo wygodniej jest reklamować niż opiniować.

U sołtysa dobry sen

Z paleniska wylatują drzące złote pióra, tańczą w oczach handlarza-włóczęgi, który opowiada o dalekim świecie.
— We wsi, kawał za osadą, już bliźniak ma... I późnymi wieczorami, po wszystkich obrzędach, wkładał ten wikary garniturek z elany i białą koszulę. Wsiadał do wartburga i prul nim do miasta. Wstąpił do teatru, do kina, a często do dobrej knajpy na jakiś kieliszek. A jak sobie popił, to brał się za panny. Wsadzał je do samochodu i wioził za miasto. Aż raz, będąc dobrze na cyku, z panną na kanapie, rypnął ten wikary w przydrożną drzewinę. Polamał se żebra, z panny trup na miejscu... I wikary teraz w pierdłu wygłasza kazania dla kumpli z krątek...

— Nie gadajcie pierdół! — trzaska sołtys pięścią w stół. Zły, bo mu się pomylilo liczenie pieniędzy. — Tfu! — spluwa. — A takicie niby nabożny, Boga w progę chwalicie... — Mówię szczerą prawdę! Możecie nie słuchać...

I już teraz szeptem opowiada młodej sołtysinie. O pijaku z miasteczka, który łeb szalikiem owinał i rzucił się pod pociąg. O dziewczynie otrutej gazem z nieszcześliwej miłości do ginekologa, u którego już trzy razy była na skrobance...

Opowiada włóczęga, a ma w oczach białe ciało i złotawe włosy młodej sołtysiny. Przewoźnik kładzie palce na wargach, chyli głowę nad kuchnią. Ale widzi oczy włóczęgi i dobrze w nich czyta. A sołtys ani tych, ani tamtych oczu nie widzi, bo liczy pieniądze...

Zadymił na stole gar pelen gorącego mleka. Ze słomianej plecionki znikają kromy grubo maszonego chleba. Pachnie ciepłym sabatnikiem, paloną olszyną. Sennie po wieczery, dym ze sportów wije się pod sufitem...

— Trza spać — mówi sołtys. — Nie zmarzniecie w sianie pod baranicą.

Handlarz wspina się po drabinie na stryżek. Sołtys lasi się do sołtysiny. Ale ona bierze dziecko do siebie.

— Ty, no co ty? — mamle maż.

— Chcesz nowego bocka nad naszą chałupę?

— Eee... Jakże?...

— No to dziś mój babski dzień, rozumiesz?

Sołtys chłodzi czoło o szybę. Wkłada pieniądze i listę do szuflady. Zamyka. Kluczyk wsuwa pod poduszkę.

— Nie zawadzi mocniej popiłnować forsy — mruczy. Dmuchą w otwór cylindra. Pachnie kopciem naftowym. Przez kwieciste srebro na szybach bledziusienki nów splywa do izby.

Sołtys zasypia. Jutro siwym przedranim jedzie do Gromadzkiej Rady z pieniędzmi.

Zona leży z otwartymi oczyma. Przez mrok, siano, powalę widzi twarz włóczęgi. I te wileze zęby w kasztanowej brodzie. Od tego widzenia falista gorącość płynie przez jej młode ciało.

Więc wstaje i przemyka boso do sieni. Pnie się w eichym skrzypię po wąskiej drabinie.

Włóczęga już czeka. Ciągnie z włazu na siano. Ma jej białe ciało pod sobą... Sołtysina targa go za brodę, wysmykuje mu się z rąk, bije w twarz.

— Ech, ty dzika, ty — dyszy handlarz.

— Puść, cygański bandziore — syczy sołtysina.

— Ocipiała baba! To po coś tu przyszia?

— Puść, bo będę krzyceć!

— Ano, pokrzyż sobie głupia kobieto. Zarusienko twój chłop pomyśli, że to ja cię przytachał na stryżek.

— To czemu — chlipie sołtysina — nie przyszedłeś przez okragły rok? Czekalam, do osady jeździłam, wychodziłam w las wypatrując oczy.

— Chciałem przyjść do ciebie, oj chciałem. Ale nie mógł zajść w te strony. Inspektorzy i milicja za mną weszli... Nie mam zezwolenia na handel. Bo ja handlarz-włóczęga...

— Kłamiesz, ty bandziore. W każdej wsi, osadzie wzięleś babom do łózek!

— Ja tylko o tobie, przysięgam... I o synku myślałem... Czarniawy...

— Nie twój! Prawowity, mężowski. A ty więcej nie przychodz! Nie truj serca ani oczu czekaniem.

— Jak chcesz — mruczy handlarz i okrywa się sołtysową baranicą.

Ale sołtysina nie odchodzi. Jej dłonie wsuwają się w czarne włosy włóczęgi.

— Ty łobuzie — szepcze — ty i tak odejdziesz. Ostatni już raz...

Handlarz wtuła brodę między przejące się piersi. Odurzony mlecznym zapachem, i sienną miłością...

— Dziecko się obudzi — mamle sołtysina. Zsuwa się do włazu.

— Już za dwa tygodnie przyjdę — szepce handlarz.

— Nie przychodź — odpowiada cicho.

Sołtysina tuli dziecko, jak przed chwilą moene ciało handlarza. Dziecko wierci się, kwili.

— Stój! Kto? Pieniądze! — drze się przebudzony sołtys.

— Cicho, dzieciak mi się zmoczył — szepce sołtysina.

Włóczęga słyszy ten krzyk. Uśmiecha się. — Nie ukradli ci sąsiedzkich pieniędzy — mruczy — ino coś inszego...

I już wszyscy śpią. Tylko sołtys nie wie, że nad jego głową, za sienną powalą po raz wtóry żona mu się skurwiła.

Bo w twarzy sołtysa jest senna jasność. Sołtys bowiem piłe we śnie gorzałkę w osadzie. I hołubi, i pieści tę panienkę z kamieniczki przy rynku. Może tak z nią poczynać, bo przywiózł siołek miodu, torbę jablek i banieczkę deptanego sprytu.

A włóczęga już idzie snem do tych dalszych wsi. Niesie opowiadki, słowo boże w języku, nici, igły w torbie, a szuka miłości... Dobry jego sen. W ten sen splywa nów przez okienko na stryżku...

LAUREACI VIII FESTIWALU POEZJI

W imieniu jury, w skład którego weszli Jan Błoński, Tadeusz Chrościelewski, Bohdan Drozdowski, Jan Huszcza, Stefania Skwareczyńska, Michał Sprusiński i Marek Wawrzkiwicz, jej przewodniczący Artur Sandauer ogłosił werydykt, przyznający doroczne nagrody festiwalu.

Za najlepszy tom wierszy, wydany w okresie międzyfestiwalowym, nagrody otrzymali: Anna Swirszczynska (Kraków) za tom „Poezję wybrane” i Tadeusz Urgacz (Warszawa) za tom „Garbuska”. Za najlepszy tom esejów o poezji „Lirnicy, Trubadury i Tyrteje”, nagrodę otrzymał Bohdan Ostromecki (Warszawa), a nagrodę za najlepszy debiut poetycki Bohdan Urbankowski (Warszawa) za tom „W cieniu”.

W otwartym konkursie poetyckim, na który wpłynęło ok. tysiąc wierszy 99 autorów, I nagrodę przyznano Krzysztofowi Gąsiorowskiemu (Warszawa), dwie II nagrody równorzędne również K. Gąsiorowskiemu i Leszkowi Szarudzie (Warszawa), trzy równorzędne nagrody III otrzymali: Dorota Chrościelewska (Łódź), Emil Biela (Myślenice), Włodzimierz Antkowiak (Grudziądz).

Ponadto medale V Łódzkiej Wiosny Artystycznej otrzymali: Aleksander Rymkiewicz, Anna Swirszczynska, Tadeusz Urgacz i Bohdan Ostromecki.

W Konkursie Jednego Wiersza jury pod przewodnictwem Aleksandra Rymkiewicza I nagrodę przyznało Jerzemu Górzańskiemu za wiersz „Inżynier budowniczy Kłyków”, a drugą Zdzisławowi Jaskule za wiersz „Moje ciało otoczone”.

Wszystkim nagrodzonym serdecznie gratulujemy!

Wyjątek z tomu „Latoś wesel nie będzie”

PAMIĘĆ

Jeszcze ze Stuartami i z Janem Sobieskim jako tako
ale to co było dziesięć lat temu
ale to co było przedwczoraj
było — nie — było

Gdy każdy rok krew wytacza,
coraz krótsza pamięć
Gdy szaleństwo prześciga się z szaleństwem
coraz mniej zdziwienia

Zapytuję staruszka, który był w obozie
jak wytrzymał półnogi na mrozie
mówi, że wytrzymał

Sieroty po ofiarach
z synami katów
dobijają targu

Pary rękami splecione
chodzą po parkach
Pamięci, niczemu nie potrafisz sprostać
lepiej w pogodnym wieczorze zostać
choć gdzieindziej
tuny

Turystyczne foldery
czasem coś przypomną,
ale z plakatów uśmiechają się aktorzy
ciuch w celofanie
zardłość budzi
Zapałmy papierosa
jeszcze dowcipniejszą zapałniczką

Zdarzenia powracają
w słowach
uprzejmych jak uśmiech kelnera
w wytwornej restauracji

Czasem ktoś chwyci się za głowę,
że za mało w niej pamięci,
jaki on zabawny
Czasem Mucius Scaevola
wkłada rękę do ognia

Dorzucam gałęzi do ogniska
na żołnierskim biwaku,
gdy w różnych językach
obiecujemy sobie dorzeczniejszy świat,
ale gałęzie są tak wilgotne,
że tylko kłęby dymu

Słowa wyrzekają się rzeczywistości,
każda
nada im inne znaczenie,
znieprawiając je

Gdzieś ukrywa się Tacyt

16. I. 1969.

Próba modelu poezji zaangażowanej

(O NIEKTÓRYCH PROPOZYCJACH POETÓW Z KOŁA MŁODYCH)

Zaledwie kilka lat wstecz w tym szarym mieście była kuźnia nowego klasycyzmu w poezji. Tu, w mieście grupy a. r., zrodziła się opozycja przeciw poetyce Awangardy i jakkolwiek dziś wśród młodych i najmłodszych nie ma wiernych uczniów dwójga imion Rymkiewicza, to wszakże mieć należy na uwadze, że klasycyzm niósł ze sobą odwieczną problematykę moralną i metafizyczną, przez co bliższy był duchowi naszego czasu aniżeli z programową nowoczesnością estetyzująca Awangarda. Bliższy był, być może nie tyle w wydaniu autora „Metafizyki”, ile twórcy „Ocalenia”. Dniś nie ma szkoły poetyckiej w Łodzi, nie ma przywódcy i uczniów. W jej miejsce jest pewnego rodzaju demokracja poetycka, polegająca na egzystowaniu kilku poetyk, przy czym żadna z nich nie pełni roli hegemonicznej. Młode środowisko, preżne jeśli chodzi o ambicje i twórcze realizacje, słabe natomiast w życiu literackim kraju, ma te piękna ceche, że jest z daleka od współczesnych akademickich sporów o poezję kontestacyjną, lingwistyczną itp., że trzyma się po prostu pryncypialnych spraw poezji, które tak niemile są widziane przez większą część młodych krytyków. I tak w owej jedności, jedności celu możemy wyróżnić wiele nurtów odmiennych co do środków ekspresji osobowości:

1. Poezja bezlitosnego myślenia, której najbardziej typowym reprezentantem, a przy tym i teoretykiem, jest Andrzej Biskupski. Dominuje problematyka moralna. Poeta przejawia zło, aby bardziej je unaoecznić, aby w ten sposób wdernąć się w znieczulone obszary psychiki zuniformizowanej jednostki ludzkiej. Oscełuje między moralistyką, a sarkastyczną ironią. Poezje te cechuje nieustanny krytycyzm, ostrze krytyki zwrócone jest zarówno na zewnątrz, jak i do wewnątrz, przeciwko samemu sobie, ściślej — własnym słabościom. Jest to postawa, moim zdaniem, najbardziej uzasadnionego, bo zracjonalizowanego buntu, przekonującego nie tylko dzięki sile emocjonalnej, ale przede wszystkim dzięki głębokim wartościom intelektualnym, jakie ze sobą ta poezja niesie. A jest to poezja klarowna, oczyszczona z wszelkiej ornamentyki. Jej walor tkwi poza rozwiązaniami w sferze środków stylistycznych, w kompozycji myśli, w wiązaniu nie tyle odległych wyobrażeń, ile problemów sytuacji.

2. W drugim nurcie (przykład: Jacek Bierezin) spotykamy się z bardziej uproszczonym modelem postawy poetyckiej, mającej prawnor w indywidualizmie romantycznym. Pisała o tym już trafnie Marianna Bocian, że jest to krytyka jednostronna, burząca, że jej działanie ma ograniczony zasięg czasowy, że jej aktualność przy naszych wahanach klimatycznych jest dość efemeryczna. Bunt skierowany jest tu wyłącznie na zewnątrz. Wszelkie zło jest poza bohaterem lirycznym.

O wartości tej poezji decyduje w pierwszym rzędzie ironia. Tendencja owa reprezentuje część najmłodszych. Jeżeli więc ów bunt egoistyczny potraktujemy za grzech młodości, to w przyszłości winniśmy spodziewać się od poetów tego nurtu bardziej wielostronnego widzenia rzeczywistości.

3. Nurt następny i jego ambicje najlepiej, być może, wyjaśnia słowa Husserla, jakie miał wypowiedzieć w rozmowie z Szestowem: „...jeżeli rozum nie potrafi przezwyciężyć wątpliwości, które we mnie narosły, jeżeli jestem skazany wyłącznie na wyglądanie, klajstrowanie — bardziej lub mniej dokładne — rys i luk, jakie powstały we wszystkich naszych konstrukcjach epistemologicznych, to pewnego pięknego dnia nasza wiedza rozpadnie się i staniami oko w oko z nędnymi resztkami dawnej świętości”. W okresie postępującej dezintegracji nauki i sztuki, braku kryteriów wartościowania, zadaniem poety jest podjąć się heroicznego wysiłku panowania nad całokształtem przemian świadomości człowieka współczesnego. Próba ta podejmuja, wprawdzie każdy z innych przyczyn światopoglądowych — co w tym przypadku wcale nie przeszkadza — m. in. Mieczysław Kucner i Stanisław Cieślak. Poeci ci, nie zważając na dotychczasowe niepowodzenia poprzedników, eksperymentują w celu poszerzenia języka poetyckiego, sięgając do terminologii naukowej; dążą do zniwelowania różnic między poznaniem naukowym a poetyckim. Miejsce naczelnie w poezji przyznają rozumowi, jako najpełniejszemu świadectwu naszego człowieczeństwa; on ma dyktować moralność, ma łączyć, a nie dzielić ludzi. Jest to bodaj najniebezpieczniejszy teren dociekań intelektualnych i prób poetyckich, eksperymentujący i jednocześnie najambitniejszy, ale o wyniku trudno przesądzać.

4. O ile wyżej wspomniane nurty w głównej mierze tyczą się wyłącznie problematyki czasu teraźniejszego, o tyle nurt następny (G. Kościński, F. Rajczak, autor niniejszych słów) jest poetycką konfrontacją w czasie historycznym. Odwołania kulturowe wskazują na pokrewieństwo z klasycyzmem z tym jednak odstępstwem, że czas w tej poezji ujęty jest dynamicznie. Wzorce z przeszłości nie powtarzają się dosłownie, a przekształcają w czasie, mają pełną swoją epokę, pełno formalne, a nie treściowe. Zderzenie teraźniejszości z czasem przeszłym, konkretnego doświadczenia bohatera lirycznego z doświadczeniem uniwersalnym służy obiektywizacji własnej postawy moralnej. Nie absolutna negacja, a miłość jest tworzywem świata. O ile w nurcie pierwszym było wielostronne widzenie rzeczywistości w jednej płaszczyźnie czasowej, o tyle tu jest podobne, z tym, że czas jest wielowarstwowy. Świadomość historyczna, jej wybiórcza orientacja ewokuje z przeszłości elementy kultury, które przeświadcza o wspólnocie losu ludzkiego, niosąc ze sobą filozofię optymistycznego tragizmu. Niepoślednią rolę odgrywa tu konfrontacja natury i kultury, żywiołów zwalczających się i przez to wspólnie konstytuujących człowieka.

Powyższa próba modelu części młodej poezji łódzkiej, dana w zarysie bardziej informacyjnym niż krytycznym, skłania do refleksji natury ogólniejszej nad całokształtem przemian zachodzących w poezji. Daje się zauważyć tendencja do odpoetyzowania, odświeżania wyobraźni i świadomości, zwłaszcza społecznej. Zmieniają się rola i zadania podmiotu. Bohater liryczny, najczęściej występujący w pierwszej osobie, dąży już nie do odtwarzania rzeczywistości czy też jej absolutnej negacji, ile do opisu komplementarnego, bardziej jednostronnego, ale też i wnikliwszego. Poeta nie jest błaznem, ani kapłanem, a mędrcem — twórcą wzruszeń filozoficznych, ogarniających ratio i sensus człowieka. Tendencja ta, silnie zarysowująca się nie tylko na gruncie łódzkim, pozwala mieć nadzieję, że przyszłość należy w pierwszym rzędzie do poezji intelektualnej.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

juvenalia 73



Dalszy ciąg ze str. 1

warcabowej szachownicy z Rektorem Szkoły Filmowej — nie wiadomo dokładnie, kto zwyciężył, tak czy owak żalować należy, że nie grali w szachy. W Parku na Zdrowiu moje wścibskie reporterskie oko zarejestrowało kilka stoisk handlowych oraz giełdę sprzętu turystycznego, która cieszyła się sporym zainteresowaniem. Przymierzając się do dwuosobowego namiotu, usłyszałem szepot:

— Panie M., chcesz pan kupić tę plachtę?

— Może...

— Po co panu? Kup pan lepszą trumnę.

— A gdzie można kupić trumnę?

— Chodź pan ze mną. Pokażę!

Myślałem, że kpi, ale na słonecznej polanie rzeczywistość czekała na chętnych bogato rzeźbiona, inkrustowana złotem jeńlonka. Jej właściciele zachwalali towar sugestywnym gestem („Wejźdź pani do środka, zaznasz pani niebywałej wygody”), a otaczał ich kordon ciekawych, niby rozśmianych, lecz przecież nieco zakłopotanych ludzi.

Znalazło się kilku śmiałków, którym za niewielką opłatą pozwolono zrobić przymarję. Jakaś młoda para, papużki-nierozłączki, weszła pod wieko na całe piętnaście minut. Gapie najpierw zrobili im owację, a potem, wobec panującej w trumnie, głuchej ciszy, zaczęli się z lekka niepokoić. Na koniec dało się jednak słyszeć ostre pukanie.

— Co jest? — zapytał właściciel.

— Nic. Trochę duszno — odezwała się trumna.

— Chcecie wyjść?

— Zgadłeś, kolego. — wygramolili się, postępując i zamierzali odejść, ale właściciel przytrzymał ich za ramiona.

— Zaraz, zaraz! — powiedział. — Należy mi się chyba parę groszy za to cudowne zmartwychwstanie.

2. Juwenaliom towarzyszyły również imprezy poważne. Jedną z nich była akcja: **STUDENCI SWOJEMU MIASTU W JEGO 550-LECIE**, obejmująca wystawę dorobku studentów kół naukowych i wystawę prac słuchaczy Wyższej Szkoły Plastycznej w dziedzinie plastycznego zagospodarowania miasta. W Instytucie Matematyki odbyło się Seminarium Kola Naukowego Fizyków, a w Gmachu Włókiennictwa PL — Seminarium Kola Naukowego Włókienników. Studenci zdecydowali się przejąć patronat nad kilkoma łódzkimi ulicami.

W dziedzinie sztuki też były poważniejsze akcenty — Maraton Filmowy, przedstawiający nie wymagający reklamy dorobek Jerzego Skolimowskiego oraz III Festiwal Teatrów Studenckich Łodzi, któremu należy poświęcić parę słów... Produkcją w dziedzinie sztuki programach sławny „Pstrąg” i zaśluzona „Cytryna”, a obok nich „Teatr 77”, „Teatr Szkolny z ul. Targowej”, „ST „Quant” oraz „Studio Próbu UL”, mające swoją siedzibę w ruderze przy ulicy Wólczańskiej 74. Wystawiono sztuki Gombrowicza, Witkacego, Osborne'a i Urszuli Koziół.

Wspomniana zaś ruderza przy Wólczańskiej sięgnęła po publicystyczno-poetycki koszmarek pewnego poety. Jestem człowiekiem tolerancyjnym, pełnym dobrej woli i życzliwej pobłażliwości dla młodych autorów, jednakże we wspomnianym wypadku za podwójną gardą poezji kryły się również treści polityczne, wyłożone w sposób kolokwialny, ordynarny i naiwny. Wiem, że należy szanować rozsądne polemizujące z tak zwaną otaczającą nas rzeczywistością głosy twórców — ich bunt, gniew, niezadowolenie, chęć reformy społecznej i korekty politycznej — ale dwudziestoparoletni — urabura, nie grzeszy ani wiedzą ani rozsądkiem... Zamyka oczy i wali z grubej rury w nadziei, że uda mu się zaszkokować i podbechtać widza, który chwilami udaje — Nowe szaty króla — że wie, co jest grane: próbuje śmiać się — chociaż nie ma z czego, oburzać — chociaż nie ma czym, wrzeszczeć — chociaż „artystyczna” wykładnia dzieła pozbawiona jest wszelkich potrzebnych po temu akcentów. Młody autor, sumienie narodu, pokazany jest w trakcie spektaklu na ogrom-

nym, wyświetlanych na ekranie zdjęciach: a to za kratami — symbol uciemnionej poezji; a to w jakiejś norze, lochu, za ulk... Domaga się wolności słowa, walcząc także — wprost o tym mówi — z belkotem w sztuce. Walcząc zaś z belkotem za pomocą własnego belkotu poranił „dramat”, którego mimo najszerzej chęci nie byłaby w stanie wystawić nawet „Wolna Europa”. Załować należy, że „Uspokojenie” wdarło się do repertuaru „Studia Próbu” — ale nie dlatego, że może, nie daj Bóg, kogoś zgorszyć lub politycznie zdeprawować... Po prostu — szkoda czasu i sił ambimnych aktorów i ambitnego reżysera (Nowicki), którzy zaangażowali swoją młodzieńcza pasję i niekłamany talent w wystawienie tego nieudanego, mętnego i kłamliwego spektaklu.

3. Kulminacyjnym punktem Juwenaliów były niedzielne wybory **Najsympatyczniejszej Studentki Łodzi**, które odbyły się wieczorem na centralnym placu Politechniki wobec wielotysięcznej rzeszy studentów i kibiców z miasta.

Potem uformował się wielki, prawdziwie karna-

wałowy pochód, którego czołówka wzięła kurs na Radę Narodową.

Nie sposób opisać wszystkich udanych masek, strojów i transparentów, którym przyglądały się na trasie tłumy łodżian.

Jedno z hasel brzmiało: **URLOPOWANI WSZYSTKICH UCZELNI — ŁĄCZCIE SIĘ!**

Niósł je sympatycznie wyglądający chłopak.

— On naprawdę ma urlop dziekański? — wypytywała koleżka jakaś dziewczyna.

— Skąd! Jest najlepszy w grupie!

— To po co robi z siebie balona?

— Dla hecy! Wiesz, głupiec przebiera się za mędrca, a mędrzec za głupca. Każdy potrzebuje raz w roku mieć jakąś odmianę.

Czoło pochodu zatrzymało się przed trybuną honorową i za pośrednictwem Najsympatyczniejszej Studentki Instytutu sygnia władzy zwrócone zostały Ojcom Miasta.

Około godziny dziewiętnastej pochód dotarł do miasteczka studenckiego na Stokach i niebawem w kilku akademikach oraz na otwartym polu rozpoczął się gigantyczny bal.

Ten ostatni tylko pozornie przypominał wielkie amerykańskie festiwale jazzowe i beatowe. Ryk głosników, morze głów, kordony napływających ze wszystkich stron miasta obserwatorów. A przecież — wbrew moim obawom — było spokojnie. Nikt się nie bił, nie awanturował, ani razu nie interweniowała milicja, która zresztą — wedle opinii samych studentów — stanęła na wysokości zadania, nie ograniczając w niczym studenckiej inwencji, nie czeplając się drobnostek, poma-

gając organizatorom Juwenaliów w sprawnym przeprowadzeniu wszystkich plenerowych imprez...

Kiedy dobiegła północ i tłum zaczął się z wolna rozchodzić do akademików i domów w innych dzielnicach miasta — można było z czystym sumieniem powiedzieć, że tegoroczne, wskrzeszone po kilku latach Juwenalia, były wydarzeniem doniosłym i w pełni udanym. Nie rzucam tych słów pochopnie. Studenckie rządy nie miały w sobie cech tyranii. Wesole, chwilami swobodne — udowodniły nam wszystkim, że śmiech to potęga, a maj — choćby deszczowy i zimny — to najpiękniejszy miesiąc roku.

Poza tym — tegoroczne Juwenalia rozbiły wiele ponurych i niesprawiedliwych mitów.

Studenci nie są znowu tacy lekkomyślni.

Ani zepsuci.

Ani rozwydrzeni.

Ktoś testował mnie na wszelki wypadek:

— Widziałeś w pochodzie choć jednego pijanego studenta?

Odpowiedziałem:

— Nie!

— Widziałeś pijanych na Lumumby?

— Nie widziałem.

— Widziałeś miłość po krzakach?

— Tu nie ma żadnych krzaków.

— Więc daj świadectwo prawdzie!

Robię to z największą przyjemnością. I z nadzieją, że za rok Studencka Wiosna pięknie nam się powtórzy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



WIELKA MIŁOŚĆ BALZAKA

W związku z serialem „Wielka miłość Balzaka”, którego wyświetlanie TV dziś zakończyła, pozwalam sobie przestąpić Wam wyjątek z książki

Jerzego Jędrzejewicza „Noce ukraińskie albo rodowód geniusza. Opowieść o Szewczen-ce”.

Z ustępu tego można dowiedzieć się, kim był naprawdę w tak sympatycznym świetle przedstawiony na filmie „Wielki pan polski” Hański — wierszy poddany cara, zdradca z 1830 roku.

JAN OPAWSKI
Łódź

A OTO ÓW FRAGMENT:

Jerzy Jędrzejewicz: „Noce ukraińskie albo rodowód geniusza. Opowieść o Szewczen-ce”. LSW, 1970, str. 613, cena 53 zł.

Strona 96:
„W listopadzie tysiąc osiemset trzydziestego roku osiemset trzydziestego roku wysłali Tomasza Padurę do Wierchowin w powiecie skwirskim, stanowiącej własność marszałka Hańskiego. Marszałek oraz jego żona, Ewelina z Rzewskich, rodzona siostra pięknej Karoliny, nadal królującej w Odessie, przyjęli poetę bardzo gościnnie. Gospodarz zapewnił emisa-

riusza o swojej gotowości w ogólnej potrzebie. Przyrzekł dostarczyć wszystkim, co mu Padurra podsyłał w imieniu organizacji. Przy pożegnaniu, odpowiadając gościowi do przedpokoj, jakby od niechcenia zapytał:
— Dokąd pan zmierzasz teraz?

— Do Rużyna — odrzekł gość. I tam w istocie pojechał.

W miasteczku, zostawwszy w zajezdni tłumoczek, poszedł do hrabiny Kallnowskiej, która znał od dawna. Zabawił kilka godzin, zjadł wiececzkę i wrócił do zajazdu. A tam już zastał czekających na niego żandarmów. Konie z miejsca ruszyły i nie oparły się aż w Skwirze, gdzie nieszcześliwie wiracono do turmy razem z złodziejami i rozbójnikami. Nazajutrz przesłuchujący Padurę oficer powtórzył mu dokładnie całą treść rozmowy, jaką emisariusz przeprowadził w Wierchowin z marszałkiem Hańskim.

Padurra poprzysiął sobie do końca życia nie ufać arystokratom.

W sercu swoim zostawił tylko malutki kącik dla Emi-

ra (Wacława Rzewuskiego) i księcia Romana z Koszycy”.

MUZYKA

Wypowiedź Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków w Łodzi, domagająca się „minimum” pół kolumny na zamieszczanie recenzji „ważnych”, przeczytałem, nie ukrywam tego, z należytą jej rozbawieniem i pobłażliwością. Wyobraziłem już sobie, jak z podobnymi żądaniem występuje Związek Zespołów Śpiewaczy i Chórnych, Oddział w Łodzi, Towarzystwo Polskich Akordeonistów, Stowarzyszenie Lutników, Klub Miłośników Opery i Filharmonii. „Odgłosy” zamienia się w „Ruch Muzyczny”, „Muzykę” i „Poradnik Muzyczny” oraz inne tego typu wydawnictwa specjalistyczne w Polsce się ukazujące.

Tymczasem uparty p. Dulski (nomen — omen) w dyskusji w Klubie Dziennikarza, którą u mnieściliście, ponownie upiera się przy swoich anarcho-muzycznych teoriach. Jest to nonsens, co zresztą niekiedy dysku-

Uważam bowiem, a temat ten poruszaliśmy w szerszym gronie, że jeśli sprawy muzyki tzw. poważnej winny się znaleźć w „Odgłosach”, to raczej marginalnie, z okazji wybitnych wydarzeń typu ogólnopolskiego. Natomiast w „Odgłosach” winno się znaleźć dużo miejsca dla muzyki lekkiej, popularnej, tej, która interesuje prawie wszystkich, a za którą szaleje młodzież. Festiwal piosenki w kraju i na świecie, ambitniejsze formy pop-musie, jej awangarda, interesujące zdjęcia „idoli”, jakieś historyczne ujęcie tematu, np. socjologia tej muzyki, monografie najpopularniejszych zespołów beatowych świata i naszego kraju. Rzucam to wszystko na „rybke”: musical, biografia Edith Piaf, Rolling Stonesów, Cream, Beatlesów, Armstronga, tych, którzy tę muzykę tworzyli. Opole, Sopot, San Remo. Rozważcie to, bo na całym świecie popularność pisma to utrafienie to, co odpowiada większości. Niech p. Dulski nie tworzy nam pisma.

RYSZARD GOZDZIK
Szczecin

„TELEFON ZAUFANIA”

Dlaczego w tak dużym mieście jak Łódź nie ma „telefonu zaufania”, a właściwie „klubu samotnych”, który, jak w Krakowie „Amicus”, prowadzi akcję odczytowa, dyskusje, spotkania. Łódź jest miastem robotniczym, trudno więc w takim środowisku szukać ludzi o zbliżonych zainteresowaniach. Jestem samotna, często chciałabym wymienić z kims swoje spostrzeżenia, przemyslenia. Moje znajome, rozkrzyżowane, lekkomyślne, miernej inteligencji, nie wnoszące nic ciekawego do mojej osobowości, trzymają się trochę ode mnie z daleka, mówią — sen-satka. Wprawdzie Schiller powiedział: „Jam nie samotny, bo na pustkowiu tym poznałem siebie”, a mimo to dąży się do żywej istoty z pragnieniem podyskutowania.

GRABOWSKA



FILM

DZIECI

Ten film był faworytem przeglądu filmowego, który odbywał się w maju w trakcie trwania I Biennale Sztuki dla Dzieci w Poznaniu. Warto tu może na marginesie przypomnieć, że impreza ta, której oceny niedługo poznamy, zrodziła się ze skromnego początkowo właśnie tylko Przeglądu, a potem Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży. Zważywszy specyfikę zarówno samego konkursu, jak i jego adresatów, a także określone, własne problemy filmowej twórczości dla dzieci, dobrze się stało, że wyodrębniła, zwrócono na nią uwagę zarówno samych twórców jak i odbiorców. Dział już Biennale Sztuki dla Dzieci — impreza piękna i chyba bardzo potrzebna.

Janusz Nasfeter mógł w Poznaniu pokazać aż dwa filmy, zrealizowane w ciągu ostatniego roku: „Tęgo okrutnego niekczemnego chłopaka” i „Motyle” — film, któremu pragnę poświęcić dziś uwagę. Prezentując przed kilku miesiącami pierwszy z tych filmów, miałam okazję podkreślić szlachetny upór i konsekwencję Nasfetera, pisarza i filmowca bezwzględnie wiernego jednej z najtrudniejszych dziedzin artystycznej działalności — twórczości dla dzieci. Nie zrażony trudnościami, a nawet pewnymi porażkami, Janusz Nasfeter draży określony krąg tematów i doskonali swój warsztat, traktując wybrany przez siebie kierunek pracy niezwykle poważnie. W jego przypadku nie mamy do czynienia ani z marginesem działalności twórczej, ani z bezpiecznym azylem.

Przy dziecięcych filmach Janusza Nasfetera często stawiałam pytanie czy są to utwory dla dzieci, czy dla dorosłych — odpowiedzi były różne, często kontrowersyjne. I tak na przykład „Ten okrutny niekczemny chłopak” wydawał się filmem przeznaczonym dla dorosłych, do ich sumień bowiem był adresowany. Przy całej szlachetności intencji, operując zbyt uproszczonym obrazem i oczywistą argumentacją film ten jednak pobrzmiewał ulatwnioną puentyścią, dlatego miał się z odbiorcą dorosłym, a dziećmi tym bardziej pokazywany być nie powinien. W „Motylach” Nasfeter osiągnął to, co nie zawsze mu się wczesniej udawało, może dlatego, że z taką pasją stał w obronie dzieci, głównie tych przez życie skrzywdzonych, chciał może zbyt wiele na raz załatwić. W najnowszym swym filmie wygrał to, w czym jest najmocniejszy — znajomość psychologii dziecka.

Mikroświat dziecka jest światem wielkim i skomplikowanym i w jakiś sposób zamkniętym dla większości dorosłych, którym tylko zdaje się, że go zna. W „Motylach” Nasfeter dyskretnie uchylił rąbka tajemnicy. Ten film zrealizował dla dzieci i może dlatego dorosłym, tym razem naprawdę, o dzieckach coś się dowiedza. W tym filmie Nasfeter nie poucza, ma, jak na uwadze z góry założoną tezę, o nie wielkiego nie walczy, po prostu pokazuje dzieci z takimi ich sprawami, o których nie wieciecie cemu, dorosli nie lubią i nie chcą myśleć. A i same dzieci, przynajmniej dorosłym, mówią o nich niechętnie. Ich pierwsza miłość, fascynacja i rozczarowania, sprawy nie zawsze uświadomione i nazwane, a przecież istniejące. Sytuacje, w których dochodzi do głosu własna, kształtująca się już osobowość, może wcale nie tak wielkim zmianom ulegająca w życiu dorosłym, sytuacje, w których następuje próba sił, konfrontacja postaw i wrażliwości.

Czy tak jest naprawdę? Czy Nasfeter nie popełnił błędów, kształtując w świecie swych małych bohaterów postacie, których odniesienia znajdujemy wśród ludzi dorosłych, budując konflikty na wzór tych, które są doświadczeniem życia dojrzałego? Wyniesione z filmu wrażenie autentyczności dziecięcych bohaterów, ich fascynacji, marzeń i małych dramatów przekonuje, że nie popełniono tu pomyłek. Jakakolwiek życiowa nieprawda wywołalaby nie, uchronione poczucie fałszu — jego nosicielami byłyby same dzieci. Jeśli zaś na ekranie są takie, jakie są, to znaczy, że są takie i w życiu — reżyser zdołał jedynie po mistrzowski wydobyć z nich jakąś prawdę o nich samych. Reszcie wypełnił niewątpliwie znajomością problemów, zainteresowań i reakcji dzieci — rdzeń, wieniółków młodziutkich bohaterów „Motyli”, nie o, oczywiście, już czysto warsztatowe umiejętności stworzenia oprawy i nastroju tej dziecięcej wakacyjnej przygody.

JESLI CHCECIE, ZOBACZCIE

„KRÓL, DAMA, WALET” — jest kolejną „za granicą” propozycją Jerzego Skolimowskiego, który doskonale swój filmowy warsztat, coraz dalszy się staje swym młodzieńczym pasjom, uławnym przed laty w jego „polskich” filmach. Mistrzem psychologii i nastroju był w swym filmie „Na dzień”, w „Królu, damie i walecie” próbuje się w komedii satyrycznej, dziwnie jednak niespójnej w jakości po szczególnych jej elementach. Świetne, paronensowne obrazy uciech erotycznych, znakomita pointa, choć zapożyczona z hitcockowskiej konwencji (wspomnijmy choćby telewizyjną serię „Alfred Hitchcock przedstawia”) sąsiadują z zupełnie niewyważenymi pomysłami dowcipu ekranowego. Jedno tym filmem udowodnia Skolimowski na pewno — umie pracować z aktorami. Piękna Gina Lollobrigida jest w tym filmie wreszcie dobrą aktorką, bohater „Na dzień” — John Moulder-Brown ujawnia swa nowe, nieoczekiwane możliwości, tylko David Niven jest taki sam, jak zawsze, to znaczy świetny.

„NA RABUNEK” reżyserował Eldar Rzazapow, autor znanej u nas i dobrze przyjętej komedii „Złodziej samochodów”, w której grał sam Smoktunowski. Podobnie jak w tamtym filmie, tak i tu nie tylko o sprawach bardzo zabawnych się mówi, kryją się w nich ludzkie losy i charaktery, a także radości i smutki autentycznego życia. Całość utrzymana w przyjemnej liryczno-ironicznej tonacji nasycono licznymi prawdziwie komediowymi pomysłami.

EWA NURCZYŃSKA



KSIAŻKA

SPOD LADY

Oczekując na niezbędne już dziś pełne wydanie naukowe, opracowane z filologiczną ścisłością, pism jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego romantyzmu, Zygmunta Krasńskiego, czytelnik niewątpliwie wdzięcznym sercem przyjmie ofertę nową przez PIW trzymtomowe „Dzieła literackie”, stanowiące pierwszy po wojnie tak obszerny wybór z całej twórczości autora „Nieboskiej Komedii”. Zawiera ona wszystkie najważniejsze teksty, wszystkie dziedziny twórczości literackiej — od autorów lirycznych aż po artykuły krytyczno-literackie pisarza, który dla swych współczesnych, na skutek różnych okoliczności, pozostawał „poeta bezimiennym”. Edycja w wyborze i opracowaniu P. Herta ukazała się w renomowanej, niezwykle starannie dobranej, PIW-owskiej serii na „biblijnym” papierze, która przyswaja polskiemu czytelnikowi arcydzieła rodzimej i obcej poezji i prozy.

Niewątpliwą ozdobą majowych kiermaszów są dwie nowe pozycje cieszącej się niezmierną popularnością serii „Ceramowickiej” Państwowego Instytutu Wydawniczego. Pierwsza z nich, książka wybitnego angielskiego Japonisty, Ivana Morrisa pt. „Świat Księcia Promienistego”, przekazuje nam obraz Japonii średniowiecznej, a ściślej od połowy X w. do połowy XI w., w tzw. okresie Heian — dobie rozkwitu cywilizacji. Autor rekonstruuje obraz rzeczywisty sprzed tysiąca lat, uwielony w swoistym dokumencie literackim, jakim jest najwybitniejszy utwór tego okresu, arcydzieło literatury japońskiej — „Opowieść o księżu Genji”. W drugiej książce, zatytułowanej „Wypawy wikingów”, kanadyjski pisarz Farley Mowat, w sposób pasjonujący opisuje mało znaną w Polsce historię odkrycia Ameryki Północnej na przełomie X i XI w. przez normanckich wikingów. W oparciu o stare sagi islandzkie, które pozostały jedynym świadectwem tego fragmentu dziejów, autor snuje swoje hipotezy i dociekania na temat identyfikacji odkrytych ładów, stara się zrekonstruować trasę tych dawnych podróży.

W le romansie — biografia w formie powieściowej — nie musi sobie u nas to, rwać drogi do czytelników. Niewątpliwie zainteresowanie tym gatunkiem literackim — i jakże tu mówić o podkopaniu przez telewizję pozycji literatury — podsycają przede wszystkim naszymi małymi ekranami seriali, mające za temat życie wybitnych postaci (Leonardo da Vinci, Balzac, Henryk VIII, Elżbieta, królowa Anglii). Wartością kontynuacją tego wątku biograficznego, chętnie podejmowanego przez nasze wydawnictwa, są dwie książki, prezentujące dwie różne sylwetki z różnych epok. Bohaterem ilustrowanej monografii, wydanej przez PIW, jest „Rubens i jego czas”. Zdałoby się, że sztuka, którą zachwycał innych, bez reszty wypełniała życie wielkiemu mistrzowi baroku. A jednak czy to z powodu niespokojnych czasów, czy też dzięki własnemu usposobieniu, nie wystarczała mu sama twórczość. Fascynowała go polityka, został dyplomatą w tej działalności, odnalazł swoją drugą pasję. Takiego właśnie, skomplikowanego wewnątrz Rubensa, ukazuje Roger Avermaet w swojej książce. Niezwykłą indywidualnością swoich czasów był Sergiusz Jesienin. W chińskiej swicie, atłasowych spodniach, z „harmoszką”, przybył w roku 1912 z riazanckiej wsi do Moskwy po sławę. Swym wdziękiem i talentem szybko podbił salony literackie. Poeta uwikłany był w liczne miłości, nietrwałe związki małżeńskie, skandale obyczajowe. 27 grudnia 1925 roku popełnił samobójstwo. O bogate osobowości poety, jego zwykłym życiu i tragicznej śmierci dowiadujemy się z książki, którą czyta się jak pasjonującą powieść: „Życie Sergiusza Jesienina” Elwiry Watyły i Wiktora Woroszyńskiego.

Zasłużona ofiarna wydawnictwa „Auriga” przyniosła nam w darze drugie (pierwsze ukazało się w r. 1960 i było od dawna wyczerpane) wydanie albumu „Leon Wyczółkowski”. Wybitny ten malarz i grafik, człowiek nieustraszonej energii, obdarzony darem szybkiego, radosnego tworzenia, stworzył wiele arcydzieł, urzekających świeżością doznań. Interesował go ludzie, drzewa i kwiaty, wielbił architekturę, różne byty sposoby jego artystyczne wypowiedzi. Obszerny wstęp piera Marii Twarowskiej przybliżył nam postać artysty, a 143 reprodukcje (w tym również wielobarwne) przyniosła wiele radości dla oka.

Pożądaną pomocą dla badaczy dawnego obyczaju i folkloru warszawskiego, a jednocześnie frajulantem lekturą dla zwykłego czytelnika, stanie się z pewnością przygotowany staraniem Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego okazały album „Przedwzrostek Warszawy typu malowidła” (wybrał oraz wstępem i objaśnieniami opatrzył Z. Bieńczycki). Na kartach książki przewija się ujęty w szerokim przekroju społeczny, od szczytów aż do „nizin społecznych”, barwny korowód typowych postaci mieszczańskich dawnego Warszawy, które starano się ukazać w uzupełniających się nawzajem opisach i rysunkach. Wszystkie teksty i ilustracje zacierpięte zostały z rozproszonych i trudno dziś dostępnych roczników prasy codziennej i czasopism, licznych kalendarzy, albumów i wydawnictw książkowych.

JAN OKOPIEN



MUZYKA

CYGAN ZAWINIŁ POWIESZONO KOWAŁA

Wiosna sprzyja upowszechnianiu kultury w ogóle, a w tym muzycznej. Przystąpiły do tego różne instytucje, czasami nawet w tym względzie wyspecjalizowane. Wymienię kilka:

Związek Spółdzielczości Pracy zorganizował w Kutnie Ogólnojewodzką Przegląd Zespołów Artystycznych, Rady narodowe wraz z Towarzystwem Polsko-Radzieckim, zakrzętny się kolo XII Konkursu Piosenek Radzieckiej. Nato, miast Teatr Wielki — nasza reprezentacyjna scena — w kolejnej premierze wystawił „Traviatę” Giuseppe Verdiego.

W pięknym kutnowskim Pałacu Kultury, o nietypowej architekturze i racjonalnych rozwiązaniach funkcjonalnych, natrafiam w niedzielny poranek kwintety na zlot gwiazd polskiej piosenki. Były dwie Maryle Rodowicz, trzy Haliny Frackowiak, pojawił się jeden Tadeusz Nalepa, a Zdzisławy Sośnickie oszalały publiczność bodają pięciokrotnie. Na wszystkich wykonawców, reprezentujących wojewódzkie spółdzielnie pracy, widać było rzetelny trud instruktorów muzycznych, którzy cały swój wysiłek skoncentrowali nad upodobaniem amatorów do wspomnianych zawodowców. Udało im się to tym lepiej, że — jak wiemy — granica poziomu między jednymi a drugimi jest, czasami, zadiwajająca bliska. Narzekamy często na brak autentycznych indywidualności, w rodzaju na przykład Ewy Demarezyk, ale robimy wszystko, aby serwilnie produkować pozbawionych wyrazu imitatorów.

innego rodzaju wrażenia przeżywałam wraz ze słuchaczami podczas koncertu, kończącego eliminacje łódzkie Konkursu Piosenek Radzieckiej. Tutaj, w głębi podziw wpedził mnie jurorzy, oceniający popisy imitatorów. Wśród tych ostatnich, obok młodych, byli także wykonawcy nienagannie przygotowani, sięgający po ambitny repertuar, wykonawcy — którzy dostarczali nieklamanych wzruszeń. Sędziowie natomiast kazali się zadumać nad przedmijającym znaczeniem kryteriów wartości. Tradycyjne, zmurszałe pojęcia, preferujące warunki głosowe, intonację, interpretację, zostały przez jurorów odważnie i bezkompromisowo odrzucone. Ożywiło to znacznie imprezę, albowiem do wzruszeń estetycznych podczas koncertu dołączają się: zaskoczenie i serdeczne rozważenie po ogłoszeniu wyników. Obserwatorzy, rozegranego później ogólnopolskiego finału tej imprezy, zauważyli rezultaty: Bogu ducha winne panny z pewnego zespołu wokalnego, zostały wyszydzone za szmirwotną wykonanie grafomańskich tekstów do banalnej melodijki. Cygan zawinił — powieszono kowala.

Wizyta w Teatrze Wielkim — to dla wielu mieszkańców Łodzi święte wydarzenie. Wybierają się na nią, aby uczestniczyć w kulturalnym misterium, na spotkanie z Wielką Sztuką. Ida, aby wzruszyć się losami bohaterów sztuki, posłuchać pięknego śpiewu, nasyć się wzrokiem olśniewającym strojami — czasami, aby porównać łódzki spektakl z innymi, oglądanymi ileś tam lat temu, na obecnej scenie.

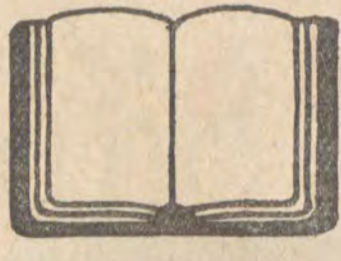
Wystawiano „Traviatę”. Premierowe wykonanie oceniali krytycy. Ja byłam na spektaklu szeregowym, grubo późniejszym. Wraz z pełną salą bardzo chciałam się wzruszyć melomatemycznymi losami głównych postaci. Mocowałam się z tym postanowieniem przez pół aktu. Ale uwagę skupiała bez reszty obserwacja zmagania bohatera z własnym głosem i dykcją. I nielad panujący w orkiestrowych partiach, bo zespół pracował bez koniecznego skupienia i zaangażowania. Wreszcie uczucie niedosytu spowodowało „oszedzenie się” niektórych solistów. Podejrzewam, że większa część publiczności, tej, która zajęła miejsca w oczekiwaniu na światło sceny, została rozczarowana. Wszak podobne „swietła” można zaufanować sobie, otwierając telewizor, zamieniając przy tym krepujący garnitur na wygodną bonzurkę, a ciasne lakierki na rozdeptane łapcie. A przecież wiadomo — rozczarowania zniechęcają.

Praktyki, podobne do opisanych, można zaobserwować w poczynaniach wielu instytucji, profesjonalnie zajmujących się kulturą. Teatr Wielki nie jest w nich — niestety — odosobniony. Nazwałabym je brakiem codziennej, zawodowej rzetelności, zjawiskiem zakrawającym nieraz na ignorowanie odbiorcy. A odbiorcy mamy dobrego. Inteligentnego, wyzuczonego na fałsz, chłonnego prawdy, wyrozumiałego, ale nie bezkrytycznego. I dlatego dzieło się swoim niepokojem. Czy długo można korzystać z kredytu zaufania?

Aby nie kończyć pesymistycznie, kilka słów o entuzjastach, którego tak często brakuje „zawodowym” organizatorom życia kulturalnego. Od niedawna istnieje w Łodzi Estrada Młodych Muzyków. Umożliwia ona start artystyczny absolwentom szkół muzycznych. Jej personel etatowy, to dwie osoby. Skromny ten „urząd” wspierany jest z całym krajem, na kontakty z zagranicą. Jego podopieczni, wynosząc artystyczne korzyści osobiste, wykonują kolosalne dzieło upowszechnienia.

Przykład: „Łowicka Wiosna Muzyczna”. Ale o tym przy następnej okazji.

MARIA HOFFMAN



KSIAŻKA

DRAMATY LEONA KRUCZKOWSKIEGO

WBibliotece Polskiej w Paryżu Leon Kruczkowski znalazł oryginalny manuskrypt, zatytułowany: „Opis życia wsiolaka polskiego Kazimierza Deczyńskiego”.

„Osiem lat czekałem na tę chwilę — zwierzył się później na łamach lwowskich „Sygnałów”. — Powoli odwracałem cienie, uleżałe arkusiki, gesto narzucone atramentem, nawet ozdobnym piśmem, o wymiarskim charakterem, który tyle nalęgowo powabu nadaje rękopisom sztytalcia. Odwracam kartki — i wcale nie czytam tekstu. Znam go przecież niemal na pamięć...”

Ten wstrząsający dokument smutnej doli chłopkiej w początkach XIX wieku, spisany przez nauczyciela wsiolaka, uczestnika powstania listopadowego, a potem emigranta, Deczyńskiego, odkrył w paryskiej bibliotece Marcell Handelman i wydał drukiem w 1907 roku. W oparciu o to wydanie Leon Kruczkowski napisał i wydał w 1932 roku powieść „Kordian i chams”. Ta książka wkroczyła do literatury polskiej, opowiadając się równocześnie jako pisarz świadomie tendencyjny, służący idei socjalizmu.

Przez trzydzieści lat — wyjąwszy lata wojny spędzone w oślasu w Arnswalde i Grossborn — służył piórem tej sprawie aż po rok 1932, gdy na łóżku szpitalnym, z którego nie miał wstać, pisał w pospiechu początkowe sceny swego ostatniego, niedokończonego dramatu „Święty”. Wśród dramaturgów Polski Ludowej Leon Kruczkowski był swego rodzaju rekordzistą. Nie wszystkie jego dramaty spotykały się z jednakowym przyjęciem krytyki i publiczności, ale wystarczy wspomnieć sukcesy krajowe i zagraniczne takich sztuk, jak „Niemy”, „Pierwszy dzień wolności”, czy „Śmierć gubernatora”, by zadokumentować olbrzymi wkład Kruczkowskiego w dorobek naszej dramaturgii po wojnie. Któregoś bowiem inny współczesny dramaturg polski odnotował w tym czasie ponad osiemdziesiąt premier swych sztuk w teatrach całego kraju! A za granicą? Miał Kruczkowski około 120 premier w teatrach 18 krajów, w tym również tak odległych geograficznie i kulturowo, jak Japonia, Chiny i Wietnam.

Trzeba odnotować, zwoln prawdzie, że teatry łódzkie wykazywały w stosunku do dramaturgów Leona Kruczkowskiego pewną wstrętliwość. Premierie odbywały się stosunkowo późno. Takie np. „Odwety” wystawiono w Teatrze im. Jaracza prawie w dwa lata po premierze a „Pierwszy dzień wolności” w rok po premierze, dając się wyprzedzić trzynastu teatrom w Polsce. Jedynie „Niemy” łódzki Teatr Powszechny wystawił stosunkowo wcześniej, bo jako czwarty w kraju, i to w znakomitej obsadzie: z Karolem Adamowiczem w roli prof. Sonnenbrucha i z Ireną Fiełbierówną jako Ruth. Natomiast „Juliusza i Ethel” oraz „Śmierć gubernatora” nie zaprezentowano łódzkiej publiczności.

Uwagi powyższe nasunęły mi się w związku z lekturą wydanej niedawno interesującej książki Romana Szwedowskiego „Dramaturgia Leona Kruczkowskiego” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973). Dale ona rzetelnie i wyważony obraz Łódzkiemu drogi twórczej pisarza. Roman Szwedowski odnotowuje zarówno sukcesy dramatyczne Kruczkowskiego, jak i gorze nienowozna, których mu życie także nie skąpiło. No wystawienie w 1933 roku sztuki „Odwiedźnię” zakończyło się klęską artystyczną, która autor odniósł bardzo bolesnie.

W swej twórczości Leon Kruczkowski stawiał pytania na miarę epoki, w której przyszedł mu żyć. Mnożył je, pełni niepokój i kierował do tych, dla których nieistniała granica. Nie próbował formułować łatwych odpowiedzi.

W tej postawie zawiera się nieomierzająca aktualność jego dramaturgii, nie zamknięta bynajmniej wraz z momentem śmierci.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



Pałac sekcyjny Rys. W. Kondek

Ci wspaniali chłopcy...

Przez siedemnaście dni impreza ta pasjonowała nie tylko kibiców sportowych. Konduktorka w podmiejskim tramwaju zaopiniowana przez pasażera: — Kto dziś wygrał? — wyliczyła od razu pierwszych trzech kolarzy na mecie, a parę znanych mi, statecznych pań, które ze wszystkich dyscyplin sportu tolerują jedynie jazdę figurą na łyżwach, włączyły telewizory na czas trwania transmisji. Mówiło się już kiedyś, że Wyścig Pokoju się opatrzył, że nie wzbudza takiego zainteresowania jak dawniej. A przecież nieprawda. Tegoroczne sukcesy polskich kolarzy pogodzą wszystkich kibiców: tych od piłki nożnej, od boksu, lekkoatletyki... Wszyscy jednakowo martwili się, czy nasi utrzymają do końca błękitne koszulki, czy Ryszard Szurkowski znów będzie pierwszy. Było tak dobrze, że marzyły nam się już nie tylko wszystkie możliwe kolory koszulki, ale też sześć pierwszych miejsc, no, w najgorszym wypadku — trzy.

Kolarskie emocje mamy



już za sobą. Pora na refleksje. A przede wszystkim na radość, że kolarzom udało się przełamać nie najlepszą passę polskiego sportu, jaką obserwowaliśmy w poolimpijskim okresie. Udało się, ale na jak długo? Wszak przed nami międzynarodowe występy piłkarzy i pięściarzy. Poczekajmy jednak ze zmartwieniami. Cieszymy się na razie tym, co mamy.

Mamy znakomitego kolarza — Ryszarda Szurkowskiego. Napisano i powiedziano już o nim wszystko. I cokolwiek by jeszcze o nim mówić, będzie to tylko powtarzanie. A mimo to trzeba powtórzyć jeszcze raz, że Szurkowskiemu udało się dokonać tego, czego w historii dotychczasowych 26 wyścigów nie dokonał nikt inny. I przypuszczam, że chyba nieprędko znajdzie się kolarz, który, tak jak Szurkowski, trzykrotnie wygrałby Wyścig Pokoju.

Dla mnie jednak cichym bohaterem XXVI Wyścigu Pokoju był Stanisław Szoda, kolarz, o którym mówili nam mało, a który zajął przecież w ostatecznej klasyfika-

cji drugie miejsce. Tuż za Szurkowskim, a przed Waleriem Lichaczewem. Wygrał wprawdzie tylko jeden etap, ale jechał bardzo równo, zawsze w czołowie, skrupulatnie gromadząc cenne minuty i sekundy. Obaj Polacy dowiedli, że w wieloetapowym wyścigu, poza błyskotliwością, liczy się przede wszystkim rozsądek i taktyka. Można było się zżymać, kiedy na ostatnich etapach, wśród tych pierwszych na mecie, brakowało zawodników polskich, ale przecież pokazali, że wiedzieli czego bronią i że bronić tego umieli.

Szóstka Polaków zdobyła przewagę już w pierwszej fazie wyścigu i do końca starała się ją utrzymać. Polacy dojechali do Berlina nie zagrożeni, ale wypadaliby przypomnieć, że ich największy rywal — kolarze radzieccy — jechali tylko w czwórce. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy wyścigu, gdyby drużyna radziecka jechała w szóstkę. Tylko między tymi dwoma drużynami toczyła się przecież walka o pierwszeństwo. Ko-

larze NRD i CSRS, którzy zwykle liczyli się w rywalizacji o zwycięstwo, w tym roku nie odegrali większej roli. Wystarczy spojrzeć na ostateczną klasyfikację 10 najlepszych kolarzy, aby przekonać się, że jest wśród nich 5 Polaków, 3 kolarzy ZSRR i po jednym reprezentancie Francji i Belgii.

Nasi wspaniali chłopcy zabrali pięć miejsc z dziesięciu najlepszych. Można z tego cieszyć się i nawet trzeba, ale nie poprzestawałbym tylko na radości. A to dlatego, że przed nami kolarskie mistrzostwa świata. I sukces odniesiony w XXVI Wyścigu Pokoju — największej amatorskiej imprezie tego typu na świecie — zobowiązuje. Stąd moja ostrożność. Mam bowiem skłonność do euforii, do nadmiernego wyolbrzymiania sukcesów. Przypomnę medalowy skok Wojciecha Fortuny. Zrobiono z chłopaka niemal bohatera narodowego. Uwierzyl w swoje umiejętności i uwierzyl za bardzo. Tak bardzo, że przestał się liczyć wśród najlepszych skoczków narciarskich. Przypomnę również olimpijski mecz jedenastki Włodzimierza Lubiańskiego. Błyskawicznie uwierzyliśmy wszyscy, że mamy najlepszych piłkarzy na świecie. Co gorsza, oni sami też w to uwierzyli. Wprawdzie stare przysłowie głosi, że wiara czyni cuda, ale wiadać Pan Bóg do piłki nożnej się nie miesza i żadnego cudu nad żadnym boiskiem po olimpiadzie nie było i pewnie nie będzie. Oby tylko nasi kolarze nie wzięli złego przykładu choćby z piłkarzy i po sukcesie nie przestali pracować nad swoją formą.

Weszło już w nałóg, że po każdym wyścigu wszyscy felietoniści wieszają psy na telewizyjnych sprawozdawcach. Ja osobiście nie mam pretensji do panów Kozirowskiego i Pawliczka. Ja ich po prostu nie słuchałam. Włączałam telewizor, wyciszałam fonie i patrzyłam na ekran słuchając sprawozdania radiowego. Wiem, że nie tylko ja radzę sobie w taki sposób z telewizyjnymi sprawozdawcami sportowymi. Robi tak wiele osób. A może by tak redakcja sportowa TVP wzięła wreszcie ten fakt pod uwagę? Ciekawe, czy będziemy mogli kiedyś powieścić o telewizyjnych sprawozdawcach. — Ci wspaniali chłopcy ze swoimi wspaniałymi mikrofonami.

§ Kobieta zmienną jest

Dworzec kolejowy w T. niewiele różnił się od setek podobnych dworców w małych miasteczkach. Niewielka poczekalnia, w której znakomitą większość stanowili pijący pułki dworcowego bufetu, parę drewnianych ławek, kilka stołów zastawionych pustymi kufkami. Iwona K., trzydziestoletnia, parająca się spiewem praeownica przedsiębiorstwa „Estrada” znalazła doskonale te dworce, na wielu z nich spędziła długie godziny oczekując na najbliższy pociąg do miasta, stanowiącego kolejny etap jej artystycznych wояжy. I tym razem zanosilo się na czekanie — pociąg do W. odchodził dopiero za kilka godzin. Jeszcze raz podszła do rozkładu jazdy daremnie szukając jakiegoś dogodniejszego i szybszego połączenia.

— Może pomożemy? Dwóch stojących obok niej młodych ludzi przed chwilą odłączyło od grupki pijawców. Z wyraźną aprobatą przyglądali się atrakcyjnej, młodej kobiecie.

— E, chyba nie tutaj panowie nie pomoga. Najbliższy pociąg do W. będzie dopiero za siedem godzin. Muszę czekać... — W towarzystwie szybciej pani czas zleci. Ponieważ dworzec nie jest miejscem, gdzie można napić się czegoś mocniejszego, chodźmy obok. W „Kaprysie” posiedzimy, pogadamy, napijemy się...

Ta propozycja przypadła Iwonie K. do gustu. — Dobra, idziemy. — Chwileczkę, skoczę tylko do koleżki i powiem, że wychodzimy — rzekł jeden z młodych panów. Podszedł na chwilę do dwóch pijawców przy bufecie piwo mężczyzna poszeptał z nimi chwilę i cała trójka-nowych znajomych udała się do pobliskiego baru z wyszynkiem „Kaprys”.

Po godzinie towarzystwo było już z sobą zaprzyjaźnione, ba, mówiono sobie już po imieniu, a bruderszaft sprawił zarówno pani jak i obu panom prawdziwą przyjemność. Kiedy placowo rachunek za dotychczasową bielsiadę, by przy okazji stwierdzić, że nie jeszcze chwileczkę starczy okazało się, że panom pozostała do dyspozycji tylko niewielka suma pieniędzy. — Wyjdźmy już stąd — zaproponował jeden z nich, szczególnie adorujący Iwonę K. — kupimy w sklepie obok kilka patyków (popularna nazwa taniego wina), a pouleważ jest ładna pogoda, wypijemy na świeżym powietrzu.

Argumentacja nie do odparcia. Któż mógłby sobie odmówić przyjemności przebywania na świeżym powietrzu, szcze-

gólnie jeżeli jest się tak jak Iwona K. mieszkanką zadymionego, wielkiego miasta. Tak też i zbroili.

Z baterią kilku butelek taniego, a mocnego wina udali się do pobliskiego lasu. Na niewielkiej polance rozpoczęła się bielsiada. Jeszcze nie zaczęli pierwszy butelek, kiedy na polance pojawiło się jeszcze dwóch młodzieńców — tych samych, z którymi towarzysze Iwony K. pożegnali się przed godziną na dworcu. Skwapliwie przyłączyli się do pijawców prześcigając się w toastach na cześć piosenkarskiego talentu jedynej w ich gronie pani.

Trudno jest powiedzieć, jak potoczyły się dalej wypadki. Faktem jest, że parę godzin później Iwona K. zgłosiła się na posterunku MO w T. twierdząc, że trzech spośród czterech współbielsiadników dokonało na niej gwałtu. Tego czwartego to polubiła, więc nie był to gwałt.

Szybka akcja milicji i w godzinę potem trzech panowie przebywali już w miejscowym areszcie. Prokurator sporządził akt oskarżenia i za trzy miesiące owa trójka stanęła przed sądem. Jakież było zdziwienie na sali sądowej, kiedy Iwona K. oświadczyła, że właściwie nie był to gwałt, gdyż ona z dobrej woli, będąc pod wpływem alkoholu itd.

Rzecz prosta i jasna. Oskarżeni wyszli na wolność, a przeciwko Iwonie K. rozpoczęto postępowanie, przedstawiając jej zarzut dokonania fałszywych zeznań. Jednak w czasie przesłuchania Iwona K. jeszcze raz zmieniła swoje zeznania, twierdząc, że właściwie to jej gwałt. Za fałszywe zeznania została skazana na rok więzienia. W stosunku do gwałtelieli zostają wznowione postępowanie, ze względu na to, że poprzednie rozstrzygnięcie zapadło na skutek fałszywych zeznań.

W tej sytuacji sąd rozpatrujący wznowioną sprawę związany będzie poprzednim wyrokiem, zgodnie z naszą procedurą karną. Ze względów więc formalnych musi dać więzienie człowiekowi, który bądź w jednym bądź w drugim przypadku kłamał. Problem jak widać niecodzienny, chociaż z formalnego punktu widzenia, w świetle przepisów wydaje się prosty. Ale czy na pewno prosty...

MIECZYSLAW
STOLARSKI

BYĆ ARTYSTĄ...

... to wierzyć w życie — powtarza często Henry Moore. Jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy naszej epoki obchodził w tym roku swe siedemdziesięciopięcioletnie i ponad pięćdziesięcioletnie prace artystycznej. Syn górnik z Yorkshire ma w swym dorobku różnorodną i bogatą twórczość plastyczną, głównie i przede wszystkim rzeźbiarską. — Sądzę, że rzeźbiarz powinien być człowiekiem praktycznym, nie może być marzycielem — powiedział niedawno.

Henry Moore jest twórcą niezwykle oryginalnym, który wywarł ogromny, przełomowy wpływ na twórczość rzeźbiarzy brytyjskich i nie tylko brytyjskich. Zafascynowany był w młodości sztuką starożytnego Egiptu, później Meksyku i Afryki. Największy wpływ wywarła na niego rzeźba meksykańska, prekolumbijska, choć obok tych inspiracji da się w jego twórczości wykryć również oddziaływanie twórczości Brancusiego, Archipenki i Picassa z okresu kiedy tworzył twórczość tego wielkiego malarza bliska była surrealizmu.

Moore uprawiał rysunek i malarstwo, ale głównym jego zainteresowaniem pozostaje od wielu lat rzeźba. Pierwsze dzieła pochodzą z lat dwudziestych, a w roku 1922 stworzył pierwszą rzeźbę, którą zwrócił na siebie uwagę miłośników sztuki i krytyków. Wykonana była w kamieniu portlandzkim, a tytułowana „Matka i dziecko”. Temat ten w twórczości Moore'a powtórzył się jeszcze wielokrotnie.

Głównym tematem twórczości Moore'a, niemal zawsze figuratywny, choć w pewnym okresie życia zbliżył się w swej sztuce do abstrakcji, jest człowiek. Człowiek powiązany z naturą, żyjący w niej i w nią wkomponowany. Fascynowały Moore'a zawsze formy przyrody. Śledził je i odkrywał na swój własny rzeźbiarski sposób. Pewnego razu Henry Moore otrzymał w darze od swych przyjaciół wielką czaszkę słonia. Umieścił ją w swej pracowni. Przyglądając się owej czaszce ujrzał w jej liniach, w ukształcie płaszczyzn i ich współzależności te same układy i li-

nie jakie sam stosował w swych rzeźbach. Zdumiony tym, a równocześnie ośnuty, sporządził cały szereg akwafort, które zebrane potem, zostały opublikowane w książce o nakładzie stu egzemplarzy pt. „Czaszka słonia”.

Moore z równym zainteresowaniem przygląda się formom, jakie znajduje w kamieniach, mineralach, owocach czy innych twórcach natury. I dziś w pracowni rzeźbiarza stoi stół, na którym leżą najprzeróżniejsze kamienie, rzadkie minerały, muszle, suszone owoce, jajka strusie. Przez okno swej pracowni, a mieszka w budynku o stylu eklektycznym, na wsi położonej o 70 km od Londynu, godzinami obserwuje pasące się na łące stado baranów. Nie tylko obserwuje. Notuje, szkicuje, zastanawia się, stara się uchwycić syntezę formy natury u owcy tak jak stara się o to patrząc na drzewa, kwiaty, kamienie, kobiety, czy mężczyźne. Jedną ze swych monumentalnych rzeźb ustawił na pastwisku dla baranów. Zwierzęta te mają dla niego jakiś specjalny urok, wydają mu się czymś zarazem archaicznym i biblijnym. Barany pasą się wokół rzeźby Moore'a krążąc koło niej, przeskakują przez jej otwory, a rzeźbiarz podziwia je i obser-

wuje w ruchu, rzeźba zaś, tak jak zawsze chce Moore, stanowi częścią integralną krajobrazu i przyrody.

Postać ludzka, temat najbardziej bliski rzeźbiarzowi występuje zawsze jako element natury. Moore umieszcza ją potem najchętniej w plenerze, aby współgrała z otoczeniem, drzewami, łąką i niebem, po którym płyną zmienne obłoki. W swych rzeźbach Moore stosuje często pustą przestrzeń, wielkie otwory, przez które przepływa powietrze i światło i w które wdziara się obraz natury. Stosowanie tych pustych przestrzeni sprawia, że rzeźba nabiera lekkości i nieraz odbieramy iluzję przenikania przez nią tła krajobrazu, dzięki czemu sama rzeźba wkomponowuje się w jej otoczenie.

Do ulubionych tematów rzeźbiarskich powtarzających się u Moore'a wielokrotnie należą: matka z dzieckiem, grupa rodzinna, postać leżącej kobiety, zazwyczaj wyczołowanej i wspartej na ramieniu, głowa wojownika w hełmie lub bez hełmu, król i królowa, często o charakterze jakby baśniowym czy legendarnym.

Jeszcze w roku 1925 Henry Moore zwiedzając jedno z parryskich muzeów zobaczył rzeźbę Majów, która zrobiła na

nim wielkie wrażenie. Wyobrażała ona Chac-Mool, ducha deszczów, którego Majowie wyobrażali sobie w postaci kobiety. Chac-Mool wyrzeźbiona została w pozycji wyczołowanej. Od tej chwili reclining woman, wyczołowana kobieta powtarzać się będzie w twórczości Moore'a bardzo często i to w najprzeróżniejszych wariantach. W niektórych dziełach będzie stanowiła przede wszystkim bryłę, w której odczytać można zarys kobiecej postaci jedynie z surowych, oszczędnie stosowanych linii, innym razem będzie to wyraźna postać kobieca, kiedy indziej wyrzeźbi ją Moore stosując znaczną deformację i pustą przestrzeń. Rozmaite są też wielkości rzeźb reclining woman. Różne też jest tworzywo. Moore rzeźbił swą wyczołowaną kobietę nagą lub odzianą, w kamieniu i drzewie, odlewał w brązie, czasem tylko rysuje. Bywa, że są to małe figurki nie większe niż 20 do 30 cm długości, bywa że są to dzieła monumentalne.

W pracowni Henry Moore znajduje się między innymi mała figurka z brązu „Król i królowa”, jedno z arcydzieł tego artysty (jej powiększenie w

postaci monumentalnej rzeźby zdołał jeden ze szkockich pa-górków).

Elementem najistotniejszym tej grupy jest głowa króla — synteza korony, brody i twarzy, łącząca w sobie jednocześnie charakter specyficzny prymitywnego królowania i nieco zwierzęcą ekspresję jakby bożka Pana na przykład. Król ma postawę większej pewności siebie i swobody niż królowa, ta zaś jest bardziej sztywna i wyniosła i bardziej przejęta swą rolą władczyni — objaśniał swe dzieło Henry Moore przedstawicielce „Journal de Geneve”. Dziennik ten w dodatku kulturowym „Samedi Littéraire” zamieścił ostatnio wywiad z wielkim rzeźbiarzem z okazji jego siedemdziesiątej piątej rocznicy urodzin.

Na pytanie o źródła inspiracji twórczej Moore odpowiedział: „Inspiruje mnie natura, cały świat wokół mnie, ze swym rytmem, ze swą harmonią zrodzoną ze stałego poszukiwania równowagi między kontrastami nieustannego, żywiołowego rozwoju. Rzeźba dla mnie musi być wyrazem życia, musi mieć poza tym własne życie, ale pozostawać zawsze w relacji z postacią człowieka”.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZECIŁOŚĆ

Przezniejszość

SUKCES NIE TYLKO INDYWIDUALNY

Wysoką cenę przychodzi nam nieraz płacić za to, że od lat nie przywiązujemy dostatecznej wagi do obecności naszej nauki historycznej na forum ogólnowiatowym. Jeżeli nie eksportujemy naszej produkcji naukowej w zakresie historii przez publikacje obcojęzyczne, dufni widocznie, że po polsku też można czytać, ułatwiamy sytuację, w której o nas i o naszych sprawach piszą inni. Nie w tym oczywista problem, że czynią to inaczej, gorzej, że nieraz... zgola przeciw nam. I tutaj nasza nieobecność jest szczególnie kosztowna dla nas samych. Lubimy się chwalić, że nadrabiamy dawne niedostatków, i raz po raz docierają krzepiące głosy o tym, że sytuacja powoli się zmienia. Prawda to, ale taka sama jak i zdanie, że zmienia się zbyt powoli. Jak dotąd nie słychać, byśmy potrafili więcej niż sporadycznie publikować nasze historyczne książki w językach obcych, byśmy umieli wyciągnąć wnioski z tego, co od bardzo wielu lat czynią nasi sąsiedzi, zwłaszcza

Węgry i Czesi. Cieszy, że francuska edycja opracowanej przez grono wybitnych autorów i pięknie wydanej przez PWN „Historii Polski” (które... nie ma po polsku!) spotkała się z uznaniem i w mig się rozszalała, cieszy też, że wydanie angielskie, mimo iż narzekano na jego stronę językową, doczeka się w niedługiej przyszłości nowej wersji, tym razem w kooperacji, jak się dowiadujemy, z poważną anglosaską firmą wydawniczą. Ale — nie bagatelizując tego dorobku — nie czyni on jeszcze wiosny, gdyż nie tylko chodzi tu o historyczne syntezę.

Mam przed sobą okazały tom, który jest pod wieloma względami ewenementem. Kosztuje sam Bóg wie ile w zachodniemieckich markach, jest to bowiem tom z wydanej arcystarannie (i bardzo kosztownie) przez lejdęską firmę E. J. Brill serii wydawniczej o światowym rozgłosie, zatytułowanej „Studia do dziejów Europy Wschodniej”. Jako dwunasty jej tom opublikowana została praca prof. dr Mariana

Wojciechowskiego „Stosunki polsko-niemieckie 1933-1938” tłumaczona na niemiecki z wydania polskiego, które ukazało się nakładem Instytutu Zachodniego w Poznaniu w 1965 roku.

Po raz pierwszy dzieło, opracowane przez wybitnego historyka z PRL, szeroko prezentujące stanowisko naszej nauki historycznej w sprawach tak doniosłych, jak stosunki polsko-niemieckie w okresie hitlerowskim, znalazło się w katalogach księgarskich największych firm świata, dotarło do największych bibliotek, stało się „normalną” lekturą zainteresowanych badaczy, publicystów, studentów i nauczycieli. Zachodni wydawca wyszedł niewątpliwie na przeciw zamówieniu czytelnictwu, jakie powstało nie tylko w związku ze zmianami w dotychczasowym układzie stosunków w Europie, skoro rzecz ukazała się w 1971 r., zaś decyzja jej wydania musiała być podjęta znacznie wcześniej. Wyreczyli... on nas, bo chyba przede wszystkim w naszych własnych interesach leży, aby na owe tak konfliktowe problemy nie dawnej historii spojrzano również od naszej strony, aby w toczącej się wciąż międzynarodowej dyskusji funkcjonowały także nasze racje.

Z cyklu monograficznych studiów nad stosunkami polsko-niemieckimi w okresie międzywojennym dzieło prof. M. Wojciechowskiego wybija się korzystnie staranną dokumentacją, ogromną podstawą źródłową, precyzyjną klarowność wykładu. Mieliśmy to możność zaobserwować już w związku z tego polskim wydaniem: jest ono niewątpliwie

ozdobą „niemcoznawczej” serii historycznej Instytutu Zachodniego. Ale — nawet jeżeli jest to niewątpliwie praca wybitna — nie jest przecież jedyną z wcale długiej dziś już listy dzieł historycznych, choćby tylko poświęconych problematyce międzywojennego dwudziestolecia, które nadawałyby się również do tłumaczenia!

Sukces prof. dr Mariana Wojciechowskiego jest na pewno jego indywidualnym osiągnięciem jako historyka — badacza, jest jednak w jakimś wcale nie małym sensie sukcesem nas wszystkich, którym wciąż leży na sercu sprawa obecności w świecie naszych polskich racji historycznych. Jest świadectwem uznania ze strony wyspecjalizowanego — i co tu ukrywać, bardzo mało podatnego, na wszelkie zachwyty pod naszym adresem — ośrodka naukowego dla trudu i talentu polskiego badacza, dla prezentowanych przez niego racji, których oczywiście nie musi się podzielać, ale obok których nie wolno przejsz obok. Jednocześnie jednak wertuje ten opasły, wydany na najwyższym światowym poziomie edytorskim tom z pewną melancholią. Nie dlatego, że nie stać nas na publikowanie naukowych dzieł w tej formie (i cenie). Dlatego, że mam w pamięci długą listę prac polskich autorów, które chętnie widziałbym wydane po niemiecku, francusku czy angielsku. My tymczasem nie potrafiliśmy się zdobyć na obcojęzyczną edycję choćby tylko książki historycznej o niebagatelnej wymowie politycznej, jaka jest „Polska granica zachodnia” Gerarda L. Huby.

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



Zdarzenia i Związki

POETA I KRYTYK

Mówi się, że poezja jest niepopularna, że poezji nikt nie czyta... Jest to dość problematyczna prawda — z całą wszakże apodyktycznością głoszona właśnie przez tych, którzy raczej nie nie czytają. Poza — rzecz prosta — aktualnym zarządzaniem, aktualnym referatem, aktualną kroniką wypadków...

A jednak tomiki poetyckie znikają z witryn księgarń, jakoś tam owa współczesna poezja broni się sama.

Broni się przed apodyktycznymi opiniami czytelników zarządzeń jeno — broni się także przed krytykami. To motyw stary jak świat — poeta i krytyk. Pierwszy reprezentuje swoje racje subiektywne, nie wypierając się subiektywizmu — drugi reprezentuje także swoje racje subiektywne, tylko najczęściej ściśle ukryte pod pozorem obiektywizmu.

Zabawne to teatrum. Przeglądam poważne i prawie na-

ukowe czasopismo literackie i ogarnia mnie zaduma. W jednym i tym samym numerze spotykają się ze sobą oceny krytyczne, które razem tworzą dość dokładny mętlizek-pętlizek. Oto Małgorzatę Hillar gani ktoś za prostotę jej wierszy, za łatwość... Młodego gniewnego surrealistę gromi ktoś inny za hermetyczność. Innych z kolei gromi się za to, że są po środku — między prostotą a hermetycznością. Ci ostatni otrzymują cenzurki-epitety w rodzaju „średnie tempo”, „średni rytm”...

Czytelnik odchodzi od tej lektury zupełnie oglupiały.

Tak się składa, że nie jestem miłośnikiem poezji Małgorzaty Hillar, podobnie jak nie gustuję w składankach skojarzeń kolekcjonowanych przez młodych surrealistów.

Nie chodzi mi więc o te konkretne tomiki i tych konkretnych poetów.

Po prostu marzy mi się sytuacja, w której krytyk spojrzę na tom wierszy bez środowiskowych, zakulisowych obciążań. Sytuacja, w której poeta będzie oceniany na podstawie swojej poezji — a nie według tego, do jakiej koterii literackiej należy — kogo ostatnio zaatakował i kogo ostatnio pochwalił.

Młodego surrealistę ośmieszają się, bo krytyk nie może widać zapomnieć hulaśliwych występów. Młodego kontestatora nobilituje się, bo inny krytyk widzi w poecie cierpiętnika o trudnej biografii...

Powtarzam — nie bronię tu i nie atakuję konkretnych poetów — po prostu trudno mi się zgodzić na pewne sytuacje.

Oto w poważnym miesięczniku literackim publikuje się recenzję z debiutanckiego tomu młodego poety — bardzo zresztą zdolnego, autora liryków prawdziwie pięknych. Ale część owej recenzji wypełnia się reklamą tomu, który nie został wydany, który istnieje w maszynopisie znanym pięciu osobom na krzyż. W ten sposób rodzą się mity, tworzy się atmosfera — a raczej — atmosferkę — która na pewno młodemu poecie nie ułatwia dalszej drogi, a czytelnikowi zaciemnia obraz sytuacji.

Pamiętam, jakim genialnym dzieckiem był przez parę sezonów pewien młody poeta krakowski — wówczas, gdy miał w dorobku zaledwie parę opublikowanych wierszy. Tworzono mity o genialnym tomie, jaki się niebawem u-

każe... I ukazał się. Miły dowcipny, sympatyczny biederker miasta Krakowa. Ale genialność z niego wyparowała, gdy skończył się mit, a nastąpił kontakt z odbiorcą.

A czytelnik, który nie zna układów poetyckich, ugrupowań i konstelacji krytycznych — czytelnik, który nie czytuje genialnych, nie wydanych w maszynopisów, słucha tego wszystkiego jak mowy o żelaznym wilku.

Na szczęście pozostaje mu poezja. Te parę nazwisk większych i mniejszych, które sobie upodobał, ta garść książek, które przeczytał i zrozumiał nawet, jeśli się na poezji nie zna.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

NOWOŚĆ: CEPY Z PLASTYKU

Chcę sobie sprawić ładną koszulę. Nie jestem znów aż takim rzadko spotykanym dziwolągami — niech ta koszula ma 41 numer kołnierzyka i niech pasuje do wzrostu co najmniej 182 centymetry. Takiej koszuli szukam po całej Łodzi bezskutecznie. To nie znaczy, że wchodzi do każdego sklepu i sklepiku z bielizną meska, bo na to nie mam ani czasu, ani zdrowia. Ale w „Uniwersalu” nie ma, w „Centralu” nie ma, w sześciu czy siedmiu sklepach na Piotrkowskiej nie ma.

Owszem, są w tym rozmiarze w „Wólczańcu”, ale pomarańczowe. Ponieważ pracownicy drogowi, którzy muszą z daleka świecić w oczy aż do bólu, otrzymują pomarańczowe wdzianka z przydziału, można się założyć, że „Wólczanka” tego cymesu nie sprzedaje.

Z bistoru — jak mi powiedziano — w ogóle nie produkuje się numeru 41 i nie ma co szukać. Nie wiem dlaczego się nie produkuje, widocznie bistor jest dla dzieci. Sklep z odzieżą dla panów

o moim „gabarycie” prowadzi stoisko z bielizną, ale to stoisko już nie jest dla panów o moim „gabarycie”. Z płaszczami i z lesionkami też nie. Z dziewiarstwem też nie. Tylko garnitury. Nie wiem, do czego komu taki dwuczynny sklep.

Jest jeszcze punkt usługowy spółdzielni imienia Jarosława Dąbrowskiego przy Piotrkowskiej 119, gdzie można sobie zamówić koszulę na miarę. Można? Owszem, ale tam mają gotowe wykroje i tylko je na zamówienie montują. I oczywiście nie mają wykrojów o moich rozmiarach. Nie mam pojęcia, po co komu taki punkt usługowy i dlaczego nazywa się, że przyjmuję zamówienia „na miarę”. Pewnie spółdzielnia chciała mieć własny sklep, a nie mogła otrzymać lokalu, więc motywowała swój wniosek tym, że będą tam wykonywane usługi. Teraz spółdzielnia robi to samo co zawsze, to znaczy kroi zwyczajną męską, a „punkt usługowy” jest, takim samym sklepem, tak samo zaopatrzonym, jak wszystkie, tylko że nawet po

każdy udany zakup trzeba tam przejść dwa razy.

Sklep dla nietypowych wcale nie jest dla nietypowych, punkt usługowy nie jest punktem usługowym. „Specjalność kuchni” w lokalach masowego żywienia prawie nigdy nie jest naprawdę możliwa do otrzymania, a z kilkunastu pozycji jadłospisu rzadko kiedy można naprawdę wybrać i otrzymać kilka, reszta to materiał do sprawozdania.

Te wszystkie pozorne byty, rzekome istnienia, piękne i rozmaite nazwy służą bowiem właśnie do tego: żeby być wykorzystanym w sprawozdaniu. Czym więcej nazw, a także — czym bardziej są one melne, niesprecyzowane, niesprawdzalne — tym łatwiej się kamufaż, za którym tym łatwiej ukryć mniej lub bardziej „obiektywne” niedomaganie. W tej chwili na przykład wrocławskie w przemyśle, produkującym towary powszechnego użytku, sprawozdawczość z dostaw na rynek towarów nowych. Co to znaczy: towar nowy? Czy

taki, który zaczynamy produkować w okresie sprawozdawczym? Ale przecież każdy towar ma mnóstwo cech: czy wystarczy, że jedna z nich będzie nowa, żeby cały towar uznać za nowy? Czy na przykład w przemyśle spożywczym ten sam piernek w kształcie trójkąta zamiast kwadratu jest nowością? Czy but w kolorze rumba negro jest nowością, jeśli przed okresem sprawozdawczym były identyczne buty, ale w innych kolorach? A może decydującą ma nowoczesna technologia: wystarczy ten sam bubel wytworzyć na supernowej maszynie, użyć kleju zamiast szycia, przyciąć laserem zamiast nożyczkami, i z bubla mamy nowość? Może decyduje surowiec: cepy z plastyku?

Ile i jakich cech trzeba w towarze zmienić, żeby towar był czymś naprawdę nowym? Jak długo będzie naprawdę nowym? Dowolność tu jest absolutna. Ja wiem przemyśle opracowują co roku „program wdrożenia nowości”, więc sprawozdanie ma być informacją o realizacji tego programu. Ale po pierwsze:

właśnie ten program jest podany wszelkim ryzykom dowolności i woluntaryzmu; po drugie: program mówi o nowościach technologicznych i surowcowych, a nie o nowościach w wyrobie gotowym, a to dwie różne rzeczy. Sprawozdanie z realizacji programu to wcale nie sprawozdanie z dostaw nowości na rynek. Hej, jakąż tu nieskończoną możliwością fantazjowania „podciągania” umowności dyktowanej doraźnym interesem poszczególnych ogniw i szczebli! Po co komu taka sprawozdawczość?

Żeby zakończyć pozytywnie: dostałem wreszcie koszulę o moich wymiarach. Sklep miał w tym wymiarze tylko jeden jedyny rodzaj, ale na szczęście akurat ten rodzaj przypadł mi do gustu. Teraz jeszcze tylko — wzorem sprawozdania o nowościach — proponuję wprowadzić do planu i statystyki z działalności publicystycznej pojęcia felietonów dobrych i złych. Tego jeszcze nie objęto analizą. Dlaczego?

ĆWIEK